

KRZYSZTOF
KOZIOŁEK

Enigma

LICZBA
WSZYSTKICH
LICZB

Powieść szpiegowska retro
odślanająca kulisy złamania **Enigmy**
przez **polskich** kryptologów

KRZYSZTOF
KOZIOŁEK

Enigma

LICZBA
WSZYSTKICH
LICZB

Redakcja
Alina Polak-Woźniak

Konsultacja merytoryczna
Szymon Dąbrowski

Korekta
Ewa Popiłka

Projekt okładki
Kamil Pietruczynik
kamilpietruczynik.pl

Na okładce wykorzystano zdjęcie z Chroma Stock
(s. 1, autor: Podsolnukh)
oraz archiwalne fotografie z zasobów
Narodowego Archiwum Cyfrowego
(s. 2 oraz 3).

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2022
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2022
manufakturatekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
krzysztofkoziolok.pl

Wydanie pierwsze
Nowa Sól 2022

ISBN 978-83-964872-0-9 (pdf)

Dedykuję
Weteranom II wojny światowej

Stypendium

**Ministra
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Powieść została napisana w ramach stypendium
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Drogie Blogerki!
Drodzy Blogerzy!
Drogie Czytelniczki!
Drodzy Czytelnicy!

Stworzenie powieści z kluczem wymaga od jej autora wiele poświęcenia i ciężkiej pracy. Wszystko po to, aby ci, którzy będą ją czytać, dobrze się bawili podczas lektury.

Dlatego gorąco prosimy: uszanujcie to, i w swoich recenzjach, postach i komentarzach nie zamieszczajcie informacji, które innym potencjalnym Czytelnikom mogłyby zdradzić wątki istotne dla fabuły.

*Różnica między niemożliwym a możliwym
tkwi w ludzkiej determinacji.*

Tommy Lasorda

OSOBY DRAMATU

Główni bohaterowie:

Edmund Lorenc, pracownik tzw. Dwójki (wywiadu i kontrwywiadu wojskowego).

Marian Rejewski, uczestnik kursu szyfrów, późniejszy kryptolog i łamacz Enigmy.

Henryk Zygalski, uczestnik kursu szyfrów, późniejszy kryptolog i łamacz Enigmy.

Jerzy Różycki, uczestnik kursu szyfrów, późniejszy kryptolog i łamacz Enigmy.

Gwido Langer, kierownik Biura Szyfrów.

Maksymilian Ciężki, zastępca kierownika Biura Szyfrów oraz szef sekcji niemieckiej (BS4) zajmującej się łamaniem Enigmy.

Postaci epizodyczne (ale istotne):

Alfred Dillwyn „Dilly” Knox, główny kryptolog Brytyjczyków.

Gustave Bertrand, szef Sekcji „D” (dekryptażu) francuskiego wywiadu.

Stanisława Lorenc (z domu Trzaska), małżonka Edmunda.

Ada Radke, wielce tajemnicza kobieta.

Część I

Poznań – 1929-1930

Rozdział 1

Poniedziałek 21 stycznia 1929

Edmunda Lorenca obudził terkot furmanki dobiegającej zza zamkniętego okna. Zerwał się z łóżka i ze zdziwieniem skonstatował, że jest już grubo po południu!

– Tak to jest, jeśli pozwala się Hipciowi na zbyt długie bąblowanie... – Jęknął, wspomniawszy wczorajszą rundę po kawiarniach i restauracjach, przez którą dokumentnie się splukał.

Odrzucił pierzynę, postawił stopy na zimnej podłodze i od razu poderwał je do góry, szukając wzrokiem papci. Nie znalazłszy ich, pomknął do drzwi, przy których stały buty. Wzuł je, od razu zarzucił też na piżamę płaszcz zimowy, szcękając przy tym zębami. Nie musiał nawet otwierać pieca, wiedział, że jest wygaszony, wszechobecny w pokoju ziąb był tego najlepszym dowodem.

Podszedł do miski z wodą zawieszanej na ścianie tuż pod niewielkich rozmiarów lustrem. Zimno, nie zimno, w stanie nieogolonym do pracy nie mógł iść. Sięgnął po pędzel, pomstując nad własnym losem. Kiedy dostawał służbowy przydział do stolicy Wielkopolski, liczył na dobry pokój w jakimś hotelu – choćby lichym,

nie musiał być przecież pierwszorzędny – bo miałby wtedy dużo większą swobodę i komfort. Do głowy by mu nie przyszło, że będzie się cisnąć w jednym pokoju z dwójką sublokatorów, i to jeszcze w jednej z najmniej reprezentacyjnych dzielnic Poznania: Chwaliszewie.

Obszar ten nazywano Małą Wenecją. Wielu myślało, że to za sprawą położenia na wyspie i niegdysiejszego poprzecinania licznymi starymi korytami Warty, ale nazwa wzięła się od mistrzów produkujących porcelanowe figurki, którzy przybyli tutaj w XV i XVI wieku właśnie z Wenecji. Brakowało tu jednak innych podobieństw do włoskiego oryginału, Chwaliszewo bowiem miało wybitnie nadrzeczny charakter, daremnie tu było szukać luksusowej zabudowy – i zamieszkane było w większości przez robotników. Znane też było z plotkarskiej atmosfery.

Lorenc obmył twarz w lodowatej wodzie, obejrzał się w lustrze. Zadowolony z efektów, podszedł do stołu, na którym dzień wcześniej zostawił niedojedzoną skibkę chleba z marmeladą borówkową. Zaczął gryźć twarde już pieczywo, marząc o porządnym obiedzie. Niestety, wczorajszy rajd z Hipciem sprawił, że do wypłaty musiał zamienić się w skąpca. Ale nie zamierzał narzekać, w pamięci miał jeszcze pierwsze lata tuż po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i wielką biedę, jaka wówczas panowała. Nie tylko na prowincji, nawet w stolicy brakowało żywności tak bardzo, że chleb – ledwie dało się go wziąć do ust – wypiekano z mąki mieszanej z mączką z kasztanów i smarowano marmeladą z marchwi.

Westchnął, wspominając czas kilka lat wstecz, przed reformą, kiedy to wojskowi zarabiali naprawdę mar-

nie. Pamiętał, jak w jednym z artykułów w „Kurierze Porannym” zrobiono porównanie, z którego wynikało, że kapitan – żonaty i z dziećmi na utrzymaniu – dostawał pobory niższe od przeciętnego dozorca domowego! Nie pomagał nawet deputat żywnościowy – zlikwidowany w 1923 roku – czyli mąka, kasza lub ryż, mięso, słonina, cukier, kawa, herbata, marmelada lub sztuczny miód, spirytus i węgiel. Niektórzy oficerowie, aby dorobić do pensji, nadwyżki sprzedawali na czarnym rynku, chociaż oficjalnie było to zabronione.

Czasy się zmieniły, reforma poprawiła byt wojska, aczkolwiek Lorenc nie uważał, aby zarabiał jakoś nadzwyczaj dobrze. Miał dwadzieścia osiem lat i jako podporucznik otrzymywał 281 złotych miesięcznie, co budziło u niego rosnącą frustrację. Wielu jego rówieśników od roku było już porucznikami – i miesięcznie dostawało 340 złotych – on na swoją kolej czekał już dwa i pół roku, a wymarzony awans na porucznika i potem na kapitana, który zwykle uzyskiwało się około trzydziestki – a z nim podwyżkę do 450 złotych – oddalał się z każdym tygodniem.

Wyjął pugilares z szuflady komody, sprawdził zawartość i aż westchnął. Wszystko wskazywało na to, że do wypłaty jedzenie będzie musiał brać na kredyt w wojskowej spółdzielni spożywczej, która sprzedawała je bez wysokich marż, dużo taniej niż w sklepach cywilnych. Nie była to żadna ujma na honorze, takim wyjściem posiłkowali się nie tylko młodszy oficerowie i podoficerowie, ale nawet i kadra dowódcza. Gorzej, że mało kogo było stać na przestrzeganie obowiązku spłacania miesięcznego zadłużenia do trzeciego dnia kolejnego

okresu. Wielu jego kolegów było zadłużonych na 30, nawet 40 procent miesięcznych poborów. Nic dziwnego, że wielu spółdzielniom w kraju groziła upadłość.

Zamknął pugilares, schował do kieszeni marynarki, pomstując na własny los. Nie dość, że bezowocnie czekał na upragniony awans, to jeszcze przełożeni zesłali go na prowincję, bo tak właśnie odbierał skierowanie do Poznania. Ale wcale nie zamierzał się poddawać bez walki, to nie było w jego charakterze. Co więcej, planował wykazać się zdolnościami organizacyjnymi i sprawić, aby góra wreszcie go doceniła.

Z takim postanowieniem schrupał ostatni kęs kromki z marmeladą, po czym sięgnął po przygody Sherlocka Holmesa, wydanie oryginalne, na którym szlifował swój angielski. Niemieckim i francuskim posługiwał się biegle, a od kilku lat pracował też samodzielnie nad językiem Szekspira, w jego bowiem fachu umiejętności poliglota były bardzo pożądane.

Rozdział 2

Lorenc wychodził z mieszkania w kamienicy Chwaliszewo 49 przepełniony irytacją i gniewem na Arthura Conana Doyle'a. Jak śmiał uśmiercić postać Holmesa?! I co z tego, że w spektakularny sposób – spychając go razem z profesorem Moriartym do wodospadu Reichenbach w Alpach – liczył się fakt!

Prychając pod nosem, zbiegł po schodach, niemal wpadając na Franciszka Genzlera, cichego pracownika Urzędu Telegraficznego, z którym codziennie mijali się

i wymieniali ukłony. Rzucił tylko krótkie przeprosiny, wypadł na ulicę, głęboko oddychając mroźnym powietrzem. Do zamku miał dwa kilometry, czasu jeszcze mnóstwo, zdecydował się zatem na drogę piechotą. Lubił spacerować, szczególnie w nieznanym sobie terenie, a każdą taką okazję wykorzystywał do nauki spostrzegawczości. Przyglądał się ludziom, ich zachowaniu, kamienicom, przejeżdżającym furmankom, cyklistom, automobilom i tramwajom, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Na Chwaliszewie mieszkał zaledwie od nieco ponad tygodnia, ale już zdążył się dowiedzieć, że przez kilka wieków miasteczko służyło nie tylko z położenia na wyspie otoczonej Wartą i jej kanałem, ale też ze znakomitych krawców i szewców. W 1801 roku zostało włączone do Poznania, ale jeszcze przez długi czas mieszkańcy starali się zachować odrębny charakter swojej dzielnicy. Nawet teraz, grubo ponad sto lat od wcielenia go do stolicy Wielkopolski, dało się tu wyczuć specyficzny klimat, tak charakterystyczny dla małych społeczności.

Podporucznik wszedł na Most Chwaliszewski, metalową konstrukcję wyłożoną – co rzadko spotykane – nie kostką brukową, tylko drewnianą, a to z powodu bliskiego sąsiedztwa kamienic, których mieszkańców w ten sposób chciano uchronić przed nadmiernym hałasem. Popatrzył na rzekę, ale nad Wartą nikogo nie było, o tej porze roku nie dostarczała bowiem zbyt wielu atrakcji. Co innego latem, kiedy rokrocznie na przełomie maja i czerwca przyciągała rzesze poznaniaków przychodzących popatrzeć na tarło jesiotrów z Bałtyku, przyplływających aż tutaj – prawdopodobnie za sprawą

znacznie cieplejszej wody i mnóstwa resztek wyrzucanych przez mieszkańców prosto do wody. Niespodziewanie ostatni raz ryby pojawiły się na Chwaliszewie w 1906 roku. On miał wtedy pięć lat, a dwa lata później jego rodzice mieszkali już w Warszawie, skąd wyjechali z Poznania za chlebem.

Teraz wrócił w rodzinne strony, znane sobie bardziej z ojcowskich oraz matczyńskich opowieści niż własnych przeżyć i jak do tej pory nie za bardzo potrafił odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Ze względu na zawodowe obowiązki nie miał też sposobności, aby odwiedzić rodzinę mieszkającą w Grodzisku Wielkopolskim oraz Wolsztynie. W efekcie tego czuł się tutaj samotny jak palec.

Jakby tego było mało, spotkał się też z ostracyzmem kolegów pracujących w tutejszej komórce kontrwywiadowczej Oddziału II Sztabu Głównego – czyli Dwójki¹ – jak krótko mawiali wszyscy w firmie. W sumie nie miał im tego za złe: w końcu podrzucono go niczym kukłcze jajo, nie ujawniono celu misji, z jaką przybywał, a na dodatek nakazano ścisłą współpracę. Tyle dobrze, że do tej pory nie musiał nikogo prosić o pomoc, radził sobie sam.

Lorenc, podobnie jak wielu dwójkarzy, swoją przygodę z wywiadem zaczął dużo wcześniej – służąc jako ochotnik w różnych formacjach niepodległościowych. Brał między innymi udział w powstaniu wielkopolskim – wróciwszy na jakiś czas w rodzinne strony – potem także w obronie Lwowa i wojnie polsko-bolszewickiej.

¹ Oddział II Sztabu Głównego Wojska Polskiego (nazywany „Dwójką”) – komórka zajmująca się między innymi wywiadem i kontrwywiadem, w tym radiowywiadem, radiowywiadem i kryptologią. Do 1928 roku nosiła nazwę: Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Z racji świetnej znajomości języka niemieckiego i francuskiego – o co zadbali rodzice – był łakomym kąskiem dla Dwójki. Dlatego też w 1925 roku został skierowany do Warszawy na kurs informacyjno-wywiadowczy organizowany właśnie przez wywiad. Zdał go w grupie najlepszych uczestników i krótko potem otrzymał przydział jako rezydent wywiadu w Konsulacie Rzeczypospolitej w Szczecinie przy Auguststrasse². Oficjalnie pełnił funkcję referenta prasowego, tak naprawdę zajmował się głównie obserwacją portu morskiego, do którego przychodziły transporty sowieckiej amunicji przeznaczonej dla Reichswery.

Szło mu świetnie do chwili, kiedy niemiecki kontrwywiad postanowił wyeliminować go z gry i Lorenc został wrobiony w rozbój, a przy tym ciężko pobity. Po roku rekonwalescencji wrócił do służby, ale zawiódł się, bo liczył na powrót na podobną placówkę, tymczasem skierowano go do pracy za biurkiem. Kiedy więc padła propozycja wyjazdu do Poznania, początkowo był pełen entuzjazmu i wyraził zgodę. Teraz jednak zaczynały go ogarniać wątpliwości.

*

Do celu dotarł z duszą na ramieniu, potwornie bijąc się z myślami. Z jednej strony wisiała nad nim obawa popełnienia największego błędu w karierze, z drugiej wciąż liczył, że los wreszcie się odmieni.

Z postanowieniem zrobienia wszystkiego, aby mu pomóc, stanął pod 75-metrową wieżą Zamku Cesarskiego. Wybudowano go dla Wilhelma II, ostatniego cesarza niemieckiego i króla Prus, zrealizowano to za ledwie

² Obecnie ul. Małopolska.

w pięć lat, co - wzięwszy pod uwagę monumentalny charakter obiektu – było nie lada osiągnięciem. Zamek krył w sobie 585 pomieszczeń, a powierzchnia gmachu głównego przekraczała 25 tysięcy metrów kwadratowych. Sam podwójny tron dla cesarza i jego małżonki ważył 3,5 tony. Nic dziwnego, że inwestycja pochłonęła niebagatelną kwotę pięciu milionów marek. Co ciekawe, kajzer odwiedził zamek zaledwie dwukrotnie, pierwszy raz 21 sierpnia 1910 roku, kiedy osobiście odebrał klucze od architekta, a drugi trzy lata później, podczas oddania do użytku zamkowej kaplicy.

Budowlę wzniesiono w stylu neoromańskim – jako że cesarz uznawał go za najbardziej germański – a sam zamek miał przypieczętować wizualnie przynależność Wielkopolski do Rzeszy Niemieckiej. Teraz było tu Państwo Polskie, a widok rezydencji nieznośnie kłuł w oczy, przypominając o niedawnym zaborcy. Nie zdecydowano się jednak na jego wyburzenie, to byłoby przecież ogromne marnotrawstwo. Przez kilka lat po Wielkiej Wojnie mieściła się tutaj siedziba Ministerstwa byłej Dzielnicy Pruskiej, potem swoje miejsce znalazło w nim parę zakładów Uniwersytetu Poznańskiego, organizacje studenckie oraz harcerskie, jak też redakcje kilku czasopism i rezydencja prezydenta Rzeczypospolitej.

Lorenc skierował swe kroki do przyziemia, gdzie zlokalizowany był Wydział Matematyczno-Przyrodniczy i gdzie odbywały się seminaria matematyczne profesora Zdzisława Krygowskiego. Podporucznik był średniego wzrostu, miał szerokie ramiona i poruszał się w elegancki sposób, miało się wrażenie, że nie idzie, tylko jakby płynie. Kiedy tak sunął korytarzem w stronę

sali nr 22, przyciągnął uwagę dwóch studentek. Rozpoznał je od razu, były jednymi z dwadzieściorga trojga³ uczestników kursu szyfrów, nad organizacją którego sprawował osobistą pieczę. Wyższa trzymała pod pachą związane sznurkiem książki, u stóp niższej stał nieco podniszczony tornister.

– Dzień dobry, paniom. – Ukłonił się szarmancko.

Kobiety spojrzały na niego zaciekawione. Głęboko osadzone oczy mężczyzny od razu przywodziły myśl, że ich właściciel jest osobą przenikliwą.

– Pan profesor już jest? – spytał, uważnie przypatrując się uczestniczkom kursu. Nie grzeszyły urodą, ale przecież z nimi żenić się nie zamierzał.

– Nie – odpowiedziała wyższa. – Pana profesora jeszcze nie ma. Pan na seminarium?

Druga dziewczyna zachichotała, wpatrując się w twarz mężczyzny.

W tej samej chwili Lorenc stracił pewność siebie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że byłby całkiem przystojny, gdyby nie zdecydowanie za duży nos, kształtem przypominający ziemniaka. Kiedy jeszcze w Poznaniu krótko chodził do szkoły, inne dzieci dokuczały mu z tego powodu, przezywając pyrą albo kartoflem, w zależności od tego, czy byli to Polacy, czy Niemcy. Wielokrotnie kończyło się to bijatykami, przez co niejednemu raz lądował w kozie. Z wiekiem zaakceptował swój wygląd, docinki się skończyły, a jemu pozostały przynajmniej bokserskie umiejętności.

– Panienkę coś rozbawiło? – Postanowił, że nie pozwoli sobie dmuchać w kaszę. Oj, zrzędlaby jej mina,

³ Źródła podają też inną liczbę uczestników kursu: 26 lub 28.

gdyby tylko mógł włożyć mundur, a przy tym zdradzić, że pracuje w kontrwywiadzie!

Niższa zachichotała raz jeszcze, nic nie mówiąc.

– Koleżanka jest trochę nieśmiała. – Poprawiła książki związane sznurkiem.

– Jakoś z trudem przychodzi mi w to uwierzyć – odparł Lorenc, niecierpliwie zerkając na zegarek. Niechby wreszcie ten profesor przyszedł!

– Pan na seminarium? – powtórzyła.

Zaprzeczył krótkim ruchem głowy.

– Pan nie jest studentem, prawda? – Zadała kolejne pytanie.

– Nie – odrzekł ostrożnie. Dziewczyna miała wydatny biust, zdecydowanie za duży jak na jego gust, za to podobają mu się jej szerokie biodra.

– Pracownikiem uniwersytetu też pan nie jest – mówiła dalej.

– Nie jestem... – Coraz mocniej go intrygowała.

– To kim pan jest? – Przygryzła zalotnie wargę.

– Interesuje to panią? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Jeśli jej koleżanka rzeczywiście była nieśmiała, to ona z pewnością miała tej pewności siebie za obie. I ten jeszcze lekko zadarty nosek dodający uroku!

– Chwileczkę... – W głębi korytarza zobaczył profesora Krygowskiego. Nie czekając na reakcję rozmówczyni, ruszył w jego kierunku. Przywitał się z nim żelaznym uściskiem dłoni, a potem przekazał prośbę o poinformowanie uczestników kursu, że od jutrzejszego wykładu – trzeciego z kolei – zajęcia będą odbywać się w Forcie Winiary, nazywanym też z niemieckiego Kernwerkiem, ale jeszcze częściej określanym przez mieszkańców jako

Cytadela. Mężczyzna był nieco zdziwiony, ale nie zadawał pytań, a Lorenc też nie czuł potrzeby, aby wyjaśniać mu, że to był jego osobisty pomysł, na który przełożeni przystali. Po pierwsze, przez zamek przewijało się mnóstwo osób i nie sposób byłoby dopilnować utrzymania kursu w pełnej tajemnicy. Nie bez znaczenia był również fakt, że sekretarka profesora miała niemieckie korzenie. To oczywiście nie przesądzało o jej lojalności bądź nie wobec państwa polskiego, ale w ich sytuacji – biorąc pod uwagę specyficzny charakter zajęć – lepiej było nie ryzykować. Po trzecie, Lorenc miał w tym także prywatny cel: w ten sposób zamierzał zaznaczyć swoją obecność i rolę organizatora oraz osoby zabezpieczającej kurs.

Profesor wszedł do sali, za nim ruszyły obie studentki, przepuszczone przez grono studentów, którzy pojawili się w międzyczasie na korytarzu. Lorenc był jednak szybszy, zagroził dziewczynom drogę.

– Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy – wyjaśnił, widząc ich zdziwione spojrzenia. – Dlaczego jest pani taka ciekawska? – Bądź co bądź, przyjechał do Poznania nie tylko w celach matrymonialnych, jego głównym zadaniem była praca dla Dwójki. Może słabo opłacana, ale zawsze. Co prawda dziewczyna na szpiega nie wyglądała, ale jej ciekawość zasługiwała na uwagę.

– Widziałam pana tydzień temu na otwarciu kursu...
– Zawahała się nagle. – Potem na drugich zajęciach... I...
Koleżanka zachichotała.

– I pomyślała pani, że... – Lorenc nie zwracał uwagi na niższą z dziewczyn. Cała jego uwaga była skupiona na tej drugiej. Coś w jej zachowaniu podpowiadało mu, że nie mówi prawdy.

- Pomyślałam, że... – Widać było, że gorączkowo myśli.
- Pani może już iść na zajęcia – rzekł do drugiej ze studentek. Ta od razu ruszyła do sali. – Słucham panią.
- Uśmiechnął się szeroko.
- Pomyślałam, że jest pan może nowym studentem...
- Który pojawił się nagle w drugim trymestrze?
- Czujnie rejestrował jej reakcje.
- Mógł się pan przeprowadzić... – Palcami wolnej ręki zaczęła bawić się włosami.

Takie zachowanie nie mogło ujść uwadze Lorenca. Zakładał, że wynikało ono wyłącznie ze stresującej sytuacji, ale zbyt dobrze bawił z się skonsternowaniem rozmówczyń, żeby tak nagle zrezygnować.

– Pracuję dla pana profesora – odpowiedział, cały czas patrząc studentce prosto w oczy. – Teraz pani kolej.

- Moja kolej? – zdziwiła się.
- Na to, żeby powiedzieć prawdę i przestać wreszcie kłamać. – Zmienił ton głosu na dużo mniej uprzejmy.
- Ale... – rzuciła nerwowo.
- Żadnego: ale. – Podporucznik nie odpuszczał. – Złoczyła pani ślubowanie, jak pozostali uczestnicy kursu – zauważył. – Zapomniała pani o tym fakcie?
- Nie... – Była bliska płaczu.
- Zaraz zaczyna się seminarium. – Spojrzał na zegarek. – Za dwie minuty osiemnasta. Chyba nie chce się pani spóźnić?

Przytknęła dłoń do ust.

– Daję pani ostatnią szansę. – Lorenc zaczął się zastanawiać, czy czasem nie przesadził. Bardziej na taką lekcję zasłużyła sobie ta druga, która odważyła się naśmiewać z jego nosa.

– Dobrze, powiem... – Studentka pogodziła się z losem. – Sekretarka profesora prosiła mnie, żebym się dowiedziała, kim pan jest i czym się pan zajmuje.

Mężczyzna był tak głęboko przekonany, że wymiana zdań zmierza donikąd, iż sens słów kobiety nie od razu do niego dotarł.

– Co pani za to obiecała? – rzekł dopiero po dłuższej chwili. Blefował, ale intuicja podpowiadała mu, że gra warta jest świeczki.

– Skąd pan wie, że cokolwiek mi obiecała? – Była kompletnie zaskoczona.

– Nie odpowiedziała pani na pytanie – uciął.

– Składam wniosek o odroczenie opłaty za egzaminy w tym semestrze... – Westchnęła. – Powiedziała, że postara się zdobyć pismo polecające od profesora Krygowskiego...

Teraz Lorenc już rozumiał. Na początku roku należało wpłacić wpisowe, które uczelnia przeznaczala na domy profesorskie i akademickie. Płaciło się też za ćwiczenia w pracowniach i seminariach oraz za egzaminy. Niezamożni studenci – a jednocześnie pilni w nauce – mogli starać się o odroczenie opłat, poza wpisowym, do czasu uzyskania pracy przynoszącej dochody, maksymalnie na dziesięć lat. Jeśli tej dziewczynie na tym zależało, to sekretarka profesora miała w ręku całkiem niezłą kartę przetargową.

– Na razie, gdyby była pani przez nią pytana, odpowie pani, że jeszcze niczego się nie dowiedziała. – Lorenc w jednej chwili podjął decyzję. Być może to była tylko zwykła kobieca ciekawość, w końcu nikt nie lubi, jak koło jego szefa kręci się ktoś nowy i do tego o nieznannej pro-

weniencji. Ale z racji służbowych obowiązków musiał przyjąć, że coś jest na rzeczy. A to wymagało natychmiastowego działania. Bez względu na rozwój wypadków miał szansę wykazać się przed tymi, którzy wkrótce będą decydować o wnioskach awansowych. – Rozumie pani?

– Tak! – potwierdziła gorączkowo.

– Wkrótce się do pani zgłoszę i powiem, co pani prześle sekretarce profesora. – W myślach układał już kolejne działania. – Jasne?!

– Tak jest! – Mało brakowało, a dziewczyna trzasnęłaby obcasami niczym żołnierz na placu apelowym.

– Niech pani biegnie na seminarium! – Poleciał radośnym tonem. – Może pani powiedzieć, że to ja panią zatrzymałem.

Ruszyła do drzwi, nacisnęła klamkę, nagle zamarła.

– Nie wiem nawet, jak pan się nazywa... – wyszeptała. Na twarzy miała wymalowane przerażenie.

– Lorenc – odparł, powstrzymując uśmiech cisnący się na usta. – Edmund Lorenc.

Rozdział 3

Wtorek 22 stycznia 1929

Pierwsza teoretyczna praca kryptologiczna w Europie została wydana w 1467 roku, kiedy to włoski architekt Leon Battista Alberti opublikował rozprawkę, w której analizował częstotliwość występowania poszczególnych liter w tekstach włoskich i łacińskich. Jednym z jego pomysłów na ukrywanie wiadomości było podwójne utajnienie. System polegał na tym, że najpierw kodo-

wano całe słowa i ważniejsze zwroty, a dopiero potem taką skróconą informację szyfrowano. Zaproponowane przez niego rozwiązanie karierę zrobiło dopiero w XIX wieku, a szczególnie popularne było we Francji, Niemczech i Anglii.

Kolejne stulecia przyniosły ze sobą dalszy rozwój kryptologii i kryptografii⁴, od XVIII wieku biura szyfrów i dekryptażu w poszczególnych krajach zaczęto zaś określać mianem czarnych gabinetów. Szyfrowanie wiadomości stało się na pewien sposób modne i popularne nawet w kręgach cywilnych, wystarczy wspomnieć postać Edgara Allana Poe, który na początku lat czterdziestych ubiegłego stulecia w opowiadaniu *Złoty żuk* obrazowo ukazał, że szyfr bazujący na pojedynczym tylko przedstawieniu można bez problemu złamać, o ile dysponuje się odpowiednio długim tekstem.

Najlepszy okres dla nauki o szyfrach przyszedł zaraz po Wielkiej Wojnie – w czasie której czarne gabinety dokonywały wręcz rzeczy niebywałych, wpływając na losy milionów żołnierzy – kiedy to do dekryptażu zaczęto powoli angażować dokonania nauk matematycznych, psychologicznych i lingwistyki. Zwykle liczba możliwych kombinacji jest tak wielka, że z matematycznego punktu widzenia szyfr jest nie do rozwiązania. Jednak jeśli zaprzęgnie się do pracy wiedzę psychologiczną i dane dotyczące języka, w którym funkcjonuje dany szyfr, jest już znacznie łatwiej.

Polacy z racji nieobecności swojego państwa na mapach Europy przez 123 lata szyframi – a także szerzej

⁴ W czasach, kiedy dzieje się akcja powieści, kryptografię (układanie szyfrów) odróżniano od kryptologii (rozwiązywania szyfrów), nazywanej też dekryptażem.

rozumianym wywiadem i radiowywiadem – mogli zająć się na dobre dopiero, gdy pojawiły się ku temu sprzyjające okoliczności. W nocy z 18 na 19 listopada 1918 roku trzech polskich oficerów przejęło niemiecką stację radiową w Warszawie, niedługo potem nadano z niej pierwszą wiadomość o powstaniu niepodległego państwa. Liczono, że przekaz dotrze do rządów innych krajów. Ku zaskoczeniu obsługujących pierwsza odpowiedź przyszła jednak z Wielkopolski i brzmiała: „Polski Poznań pozdrawia Warszawę”. Stało się tak, gdyż w przedpowstaniowym zamieszeniu załogę radiostacji w Forcie Winiary obsadzili polscy konspiratorzy.

Jeszcze w grudniu tamtego roku obie radiostacje obsadzono załogami składającymi się ze specjalistów wyszkolonych w armiach zaborczych oraz ochotników, z których większość była studentami. Wiosną następnego roku do podstawowego zadania, czyli zapewnienia łączności, dołożono też drugie, jak się miało wkrótce okazać, nie mniej istotne: nasłuch obcych stacji radiowych. W ten naturalny sposób zaczął działać polski radiowywiad, a razem z nim dekryptaż.

Już wówczas, w czasach formującego się dopiero państwa polskiego, wiele uwagi poświęcano przechwytywaniu depe sz sowieckich. Niestety, zaledwie kilkuosobowej załodze polskiego czarnego gabinetu udawało się deszyfrować niewiele z nich, a i to bardziej dzięki zdobywaniu kluczy metodami wywiadowczymi niż umiejętnościom kryptologicznymi.

W zmianie takiego stanu rzeczy pomógł, jak to często w życiu bywa, przypadek. Był sierpień 1919 roku,

kiedy to porucznik Bronisław Sroka – jeden z oficerów Sekcji Szyfrów zorganizowanej w strukturach Dwójki – zaczął szukać zastępstwa na nocny sobotni dyżur, jako że w tym czasie jego siostra miała wesele. Z pomocą przyszedł inny porucznik, Jan Kowalewski, chemik z wykształcenia i człowiek, który potrafił myśleć, mówić, czytać, pisać i liczyć po rosyjsku. Zadaniem, jakie sam na siebie wziął, było segregowanie przechwyconych z nasłuchu depesz sowieckich i rozdzielenie ich na właściwe komórki wywiadu. Ponieważ noc była długa, a praca do zbytnio zajmujących nie należała, z uwagą przyglądał się wiadomościom. Wtedy przypomniało mu się opowiadanie *Złoty żuk* Poego, które niegdyś czytał i znaczenie częstotliwości występowania liter w danym języku. Przyjął, że w którejś z depesz musi występować wyraz *dywizja* – pisany po rosyjsku: *diwizija* – i zaczął szukać ciągów znaków z powtarzającą się taką samą sekwencją. Do pomocy użył grzebienia. Wyłamał z niego kilka zębów w regularnych odstępach – tak samo jak zrobił to bohater *Złotego żuka* – przyłożył do zaszyfrowanej depeszy i przesuwiał, szukając miejsc, w których – pod postaciami cyfr – ukrywać się będą trzy litery „i” ze słowa *diwizija*.

Kiedy znalazł pasujący ciąg, miał już odszyfrowanych pięć liter: d, i, w, z, ja⁵. Potem w jego ręce wpadły dwie cenne depesze. W jednej nazwisko dowódcy, który ją wysłał, zakodowano, w drugiej umieszczono tekstem jawnym i Kowalewski miał na tacy kolejne litery. Dalsza praca poszła już jak z płatka. Zanim pojawił się poranny zmiennik, sowiecki szyfr stał przed nim otworem. Gdy

⁵ Rosyjska litera: Я.

dowiedzieli się o tym zwierzchnicy, Kowalewski od razu został przeniesiony do Sekcji Szyfrów.

Rosjanie zwykle zmieniali klucze co dwa tygodnie, porucznik miał więc co robić, odnosił przy tym kolejne sukcesy, dzięki czemu Polacy jedną czwartą depesz odszyfrowywali równocześnie z odbiorcą, a zdecydowaną większość najdalej nazajutrz po ich wysłaniu w eter. Kowalewski nie tylko łamał rosyjskie szyfry – stosując standardowe ataki lingwistyczne – ale też proponował, aby do tego zadania oprócz językoznawców i psychologów – jak to było wówczas w zwyczaju – zaangażować także ochotników będących w życiu cywilnym profesorami logiki i matematyki na Uniwersytecie Warszawskim. W ten sposób na nowo zdefiniował zawód kryptoanalityka, a Sekcja zaczęła prowadzić ataki na szyfry rosyjskie na dwa sposoby: lingwistyczny oraz matematyczny.

Jak istotny wkład wnieśli on i pracujący z nim ludzie, pokazał już następny rok, kiedy w tym samym czasie nasłuch przechwycił propozycję rozmów pokojowych skierowaną do polskiego rządu oraz rozkazy dotyczące przerzutu jednostek armii sowieckiej nad granicę. Niedługo potem rozgorzała wojna polsko-bolszewicka, w której radiowywiad odegrał niebagatelną, wręcz dziejową rolę. 12 sierpnia 1920 roku w ręce zespołu Kowalewskiego wpadła depesza, która od razu zwróciła jego uwagę. Raz, była bardzo długa. Dwa, do jej zaszyfrowania użyto nowego klucza. O możliwościach ówczesnych polskich kryptologów niech świadczy fakt, że do jego złamania wystarczyła im zaledwie godzina! Dzięki temu dowiedziano się, że decydujące uderzenie na War-

szawę miało rozpocząć się dwa dni później. Marszałek Józef Piłsudski, aby mieć czas potrzebny na konieczne przegrupowanie, nakazał zagłuszać radzieckie radiostacje. Polscy radiotelegrafisci zaczęli więc nadawać *Księgę Rodzaju*⁶ z radiostacji nastrojonej na częstotliwość stacji sztabu marszałka Tuchaczewskiego. Wkrótce potem stało się to, co do historii przeszło jako Cud nad Wisłą, a Kowalewski, w uznaniu zasług, został odznaczony orderem Virtuti Militari. Kiedy otrzymał go z rąk Władysława Sikorskiego, ten puścił do niego oko i szepnął: „Za wygraną wojnę”. Wiedzy o tym, jak wielką rolę w zwycięstwie nad bolszewikami odegrali polscy kryptolodzy, z oczywistych względów jednak nie upowszechniano.

Ale kierunek wschodni nie był jedynym leżącym w kręgach zainteresowania Dwójki i Sekcji Szyfrów. Naturalnym było, że równie duże siły rzucono na zachód, aby jak najwięcej dowiedzieć się o organizacji sił zbrojnych Republiki Weimarskiej. Zresztą, nawet w przypadku sąsiada, z którym utrzymuje się dobre relacje, warto wiedzieć o nim jak najwięcej. Tym bardziej jest to konieczne, jeśli ma się do czynienia z państwem wrogim i to takim, które systematycznie łamie ograniczenia narzucone Traktatem Wersalskim, szczególnie w zakresie rozwoju wojska.

Jednym z koronnych dowodów na łamanie postanowień traktatowych – a jednocześnie na znaczenie nasłuchu radiowego i późniejszego dekryptażu – były depeze potwierdzające współpracę sił zbrojnych Niemiec i Związku Sowieckiego, między innymi ćwiczenia

⁶ W innej wersji był to prolog Ewangelii Św. Jana.

morskie tych państw odbyte latem 1926 roku. Dowody te, wzmocnione fotografiami lotniczymi wykonanymi przez Dywizjon Lotniczy Morski, przedstawiono na forum Ligi Narodów, co wywołało spodziewany rozgłos i międzynarodowy skandal. Taki ruch był co prawda majstersztykiem na polu dyplomacji, ale już w świecie wywiadu jego ocena mogła być jedynie miażdżąca. Niemcy bowiem dowiedzieli się o skuteczności polskiego radiowywiadu, a co za tym idzie, mieli powód, aby zrobić wszystko w celu poprawienia sposobu szyfrowania.

Rozdział 4

Tego dnia Lorenc wstał wcześniej rano, gdyż jak najszybciej chciał złożyć raport w sprawie uzyskanych poprzedniego wieczora informacji. Kiedy kładł się spać, z emocji nie mógł zasnąć, oczami wyobraźni widział bowiem sekretarkę profesora Krygowskiego składającą meldunek bliżej niezidentyfikowanemu agentowi Abwehry. Po obudzeniu jednak ekscytacja ustąpiła miejsca chłodnej kalkulacji, a ta podpowiadała, żeby nie robić z igły widły. Nie znaczyło to oczywiście, że tematu nie ma, bardziej chodziło o to, aby nie wszczynać alarmu i nie paraliżować kursu, zanim nie przedstawi raportu.

Nie chcąc tracić czasu, podporucznik postanowił dostać się do Cytadeli tramwajem. Znalazł się tu dopiero trzeci raz – nie licząc tych kilku, kiedy jako mały brzdąc był w okolicy razem z ojcem – i jak za poprzednimi dwoma, nie mógł się nadziwić ogromowi budowli. Oficjalnie nosiła nazwę Fort Winiary – chociaż mało

kto jej używał – i była położona w centrum umocnień Twierdzy Poznań, na Wzgórzu Winiarskim wyrastającym nad ujściem Wierzbaku do Warty.

Fortyfikacje poznańskie miały ponad tysiącletnią tradycję, bo już w średniowieczu dostrzegano strategiczne znaczenie wideł Warty i Cybiny i jako takie były one odpowiednio obwarowane i bronione. Największe inwestycje ponieśli jednak Niemcy, do wybuchu Wielkiej Wojny budując najpierw wokół miasta pierścień umocnień poligonalnych na czele z Fortem Winiary, który pełnił funkcję cytadeli. W trakcie jego tworzenia przesunęli nawet koryto Warty o dwieście metrów! Sama budowla zaś była największym fortem artyleryjskim w Europie. Inwestycję zaczęto w 1828 roku i ukończono w ciągu piętnastu lat. Potem wokół miasta postawiono jeszcze pierścień kilkunastu fortów zajmujących teren o średnicy niemal dziesięciu kilometrów i co jakiś czas modernizowano kolejne elementy twierdzy, stopniowo znosząc część umocnień wewnętrznego pierścienia – te, które stały się przestarzałe i przeszkadzały w rozwoju miasta. Jednak sama Cytadela cały czas nad nim górowała.

Na początku obecnego wieku postawiono budynek radiostacji oraz trzy wysokie maszty antenowe. Po wybuchu powstania wielkopolskiego Polakom udało się szybko opanować Cytadelę, potem utworzono w nim I Batalion Telegrafistów Wielkopolskich, niedługo potem II, później jeszcze 7. Batalion Telegraficzny. W ten sposób stała się siedzibą służb łącznościowych, chociaż okresowo stacjonowały tu również inne jednostki, jak choćby dywizjon zapasowy samochodów pancernych czy batalion kolejowy.

Lorenc wylegitymował się na wartowni, potem chwilę trwało, zanim dotarł do celu – Cytadela była rozległym terenem. Kiedy wszedł do interesującego go budynku, w środku, ku swojemu zdziwieniu, spotkał porucznika Hipolita Pecha, zwanego przez siebie Hipciem.

– Dostałeś nowy przydział? – Nie krył zdziwienia, ale i radości z kolejnego spotkania. Niemal całą wojnę polsko-bolszewicką służyli w tej samej jednostce i mieli okazję poznać się jak tyse konie.

– Tylko na kilka dni. Zastępuję chorego kolegę – wyjaśnił Pech. Wbrew nazwisku szczęście mu sprzyjało, zarówno na niwie towarzyskiej – wręcz nie mógł opędzić się od kobiet – jak i zawodowej – na polu bitwy kule po prostu się go nie imały. I to mimo tego, że był niski i krępy, a przy tym rysy twarzy miał tak grubo ciosane, że aż niemal wulgarne. Jak mawiało się o takich: typ o bardzo niewyraźnej fizjonomii. Nie zmieniało to faktu, że Lorenc ogromnie go lubił.

– Szukam porucznika Ciężkiego.

– Jest u szefa. – Pokazał głową na drzwi, zza których dochodziły ciche śmiechy. – Teraz nie wolno przeszkadzać. Możesz poczekać, pogadamy. – Uśmiechnął się szeroko.

– Byle nie tak intensywnie jak w niedzielę. – Na samo wspomnienie Lorenc poczuł, że treść żołądka podchodzi mu do gardła.

– Jak jest okazja, to trzeba świętować! – Pech się zaśmiał.

– Kiedy ślub? – Starał się, aby w głosie nie było słyhać zazdrości.

– Niedługo damy na zapowiedzi! Wszystko idzie zgodnie z planem, jej rodzice są mi bardzo przychylni.

– A sprawy wojskowe?

– Mam nadzieję, że tym razem nie będzie problemów – odpowiedział cicho.

Lorenc wiedział, skąd ta zmiana humoru. Po którymś tam kieliszku Hipcio wyjawiał, że dwa lata wcześniej miał inną narzeczoną, której komisja małżeńska nie zaprobowała, dziewczyna pochodziła bowiem z rodziny proletariackiej. Gdyby się z nią ożenił bez wymaganej zgody, na pewno byłby bojkotowany przez korpus oficerski. Podobny ostracyzm groził za ożenek z kucharką lub kelnerką.

– Dzisiaj rano kolega opowiadał mi o poruczniku, który wziął za żonę byłą primadonnę operową z La Scali i jednocześnie właścicielkę majątku ziemskiego. – Pech westchnął głęboko. – Wiesz, co się okazało po powrocie ze ślubu? Koledzy z pułku na polecenie dowódcy przeprowadzili go z nędznej kawalerki do przestronnego pierwszorzędnie umeblowanego mieszkania. – Sam odpowiedział na pytanie. – A parę młodych przywitała orkiestra pułkowa i sam pułkownik...

Lorenc tylko jęknął w duchu. Innym to dopiero fortuna sprzyjała! A on gniótł się w marnym pokoju z sublokatorami. Gdyby tylko wreszcie znaleźć odpowiednią kandydatkę na żonę, to nie dość, że mógłby liczyć na przydział porządnego lokalu mieszkalnego, to jeszcze co miesiąc do uposażenia otrzymywałby dodatek na małżonkę. W Warszawie to było od 71 do 105 złotych, na prowincji nieco mniej, bo od 55 do 81 złotych, ale takie pieniądze też były nie do pogardzenia...

– Nic nie powiesz? – Pech obdarzył kolegę bacznym spojrzaniem. – Dobrze się czujesz?

– A twoja aktualna narzeczona czym się zajmuje? – spytał Lorenc.

– Ma posadę urzędniczą. – W głosie słyhać było dumę. – Będę ją wysyłał na wykłady Towarzystwa Wiedzy Obronnej poświęcone przysposobieniu obronnemu i zapiszę do Rodziny Wojskowej. – Zatarł ręce z radości. – Będzie chodziła na posiedzenia, a ja w tym czasie trochę pobąbluję. – Zaśmiał się.

– Skoro o tym mowa... – W głowie podporucznika pojawił się pewien plan. – Może zrobilibyśmy rundkę w sobotę?

– Cały czas polujesz? – Wyszczерzył zęby.

– Na razie to raczej robię za nagonkę... – odrzekł Lorenc kwaśno.

– Nie mazgaj się, na każdego przyjdzie pora!

– Tobie to łatwo mówić. – Westchnął. – Do mnie pa-nienki tak się nie lepią, jak do ciebie.

– I dlatego chcesz, żebyśmy poszli razem? Mam robić za przynętę?

Lorenc westchnął.

– Ale będzie byczo! – Pech już się cieszył na samą myśl o kolejnym wieczorze spędzonym na koszt kolegi. Nagle spowaźniał. – Do cholery!... W sobotę i niedzielę mam służbę... Ale następnym razem... – Nie dokończył, bo z korytarza dobiegł potężny głos. – To generał Antolewski! – Wyglądał, jakby miał zaraz dostać ataku apopleksji. – Na śmierć zapomniałem, że przyjeżdża przeprowadzić grę wojenną! Że też musiałem dostać to zastępstwo. – Nagle zrobił się jeszcze mniejszy.

Lorenc spojrział na kolegę ze współczuciem. Wiedział, że generał znany jest z twardego charakteru. Mawiano o nim, że żołnierze na jego komendę maszerują, salutują, jedzą i załatwiają potrzeby fizjologiczne.

Drzwi otworzyły się z hukiem, stanął w nich generał, za nim widać było adiutanta.

– Chyba się zgubiłem! – Antolewski od razu skierował się do biurka, za którym stał już wyprostowany jak struna Pech. – Czołem, panowie podoficerowie!

– Czołem, panie generale! – odpowiedzieli Lorenc i Pech jednocześnie. Chwilę potem zdziwili się ogromnie, kiedy przywitał się z nimi mocnym uściskiem ręki.

– Wy tutaj rządzą? – Antolewski spojrział na porucznika.

– Tylko chwilowo... W ramach zastępstwa... – jękał się Pech.

– Kapitan Małowski jest? – Generał rozglądał się z uwagą po gabinecie.

– Ma spotkanie...

– Długo jeszcze potrwa?

– Zaraz zapytam. – Porucznik wyskoczył zza biurka.

– Stójcie! – Antolewski zatrzymał go w połowie drogi.

– Co to jest? – spytał groźnie.

Pech był przerażony. Lorenc zresztą też, najchętniej wycofałby się na korytarz, ale nawet takim gestem wołał nie zaznaczać swojej obecności. Jak nic generał dopatrzył się jakiejś niezgodności z regulaminem i Hipcio za chwilę będzie biegał wokół Cytadeli albo też dostanie tydzień twierdzy. Co robić?!

– Co to jest za obraz? – Antolewski pokazał na malowidło wiszące w kącie naprzeciwko pieca.

– Panie generale, to jest goła baba! – wypalił porucznik. – Kobieta, znaczy się...

– To widzę... – Generał się skrzywił. – Ale co ona ma przedstawiać?

– Z tego, co wiem, dowódca batalionu przywiózł to z Mediolanu... – wyjaśnił Pech usłużnie. – Taką gołą babę, jak my to mówimy w batalionie...

– Drugi raz spytam... – Antolewski wznosił się na wyżyny cierpliwości – co ta scena przedstawia?

Na czole Pecha wystąpiły krople potu.

– Rozpacz Ewy i Adama nad zabitym Ablem. – Lorenc pośpieszył koledze z pomocą. Ryzykował, bo generałom z zasady nie wchodziło się w drogę, ale Hipcio na polach pod Płońskiem uratował mu przecież życie i miał wobec niego dług wdzięczności.

– Eiblem? – Antolewski się zasępił. – W marynarce służy dwóch Eibłów... – Zmarszczył czoło. – Który to niby z nich?!

– Nie Eibel, tylko Abel. – Podporucznik silił się na delikatność, aby – broń Boże! – nie urazić generalskiej dumy. – Abel i Kain byli braćmi i składali ofiary panu Bogu. Kiedy pan Bóg przyjął ofiarę Abła, a Kaina nie, ten drugi z zazdrości zabił brata.

– Jesteście dobrze obeznani z tą historią... – Antolewski spojrzał podejrzliwie. – Skąd ją tak dobrze znacie?

– Panie generale! – Lorenc poczuł kluchy w gardle. – Ze szkoły, panie generale!

– Ze szkoły? – Antolewski zmrużył oczy. – Ja też chodziłem do szkoły, ale...

W tym momencie drzwi się otworzyły.

– Jest już kapitan Matłowski! – Tym razem to Pech przyszedł koledze w sukurs. – Pan generał Antolewski do pana kapitana! – Zaanonsował.

– Panie generale, przedstawiam porucznika Maksymiliana Ciężkiego z Biura Szyfrów⁷... – Matłowski dokonał prezentacji.

– Znam pana porucznika! – Antolewski uściskał dłoń obu mężczyznom, potem ruszył do gabinetu kapitana.

– Czegoś bym się napił...

– Oczywiście! – Matłowski spojrzał na Pecha. – Mi-giem!

– Tak jest! – Pech trzasnął obcasami.

– Pan do mnie? – Ciężki wykorzystał fakt, że generał z adiutantem i kapitanem zniknęli za drzwiami.

– Tak jest! – potwierdził Lorenc. – To sprawa poufna...

– Oczywiście. – Wyszedł na korytarz. – Możemy porozmawiać na mojej kwaterze. To całkiem niedaleko.

Kwadrans później podporucznik zajmował już miejsce przy stole, uważnie obserwując przydzielony Ciężkiemu gabinet, w którym panował idealny porządek. Spodobał mu się taki stan rzeczy, zresztą od pierwszego kontaktu z porucznikiem czuł do niego sympatię. Co prawda jako pracownik Biura Szyfrów nie był jego nominalnym przełożonym, ale na czas kursu był do jego pełnej dyspozycji.

– Przeżyliście spotkanie z generałem Antolewskim?

– Ciężki uśmiechnął się znacząco.

⁷ Formalnie Biuro Szyfrów powstało dopiero w połowie 1931 roku z połączenia Referatu Radiowywiadu i Referatu Szyfrów Własnych, ale już wcześniej taka nazwa funkcjonowała w obiegu. Dla ułatwienia lektury autor stosuje ją w całej książce.

- Przeżyliśmy – odpowiedział uprzejmie.
 - Podobno to wielki słuźbista...
 - Tak mówią – odrzekł wymijająco. – Na szczęście nie mieliśmy okazji się przekonać – dodał.
 - Długo na mnie czekaliście? Spotkanie z kapitanem Matławskim nieco się przeciągnęło w czasie...
 - Nie czekałem długo – zapewnił. – Poza tym porucznik Pech to mój dobry kolega...
 - Z takim nazwiskiem w wojsku kariery może nie zrobić... – Zamyślił się.
 - Hipcio... Hipolit – poprawił się szybko – urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, może mi pan porucznik wierzyć. – Uśmiechnął się szeroko.
 - Fortuna to ważna rzecz... – rzekł Ciężki filozoficznie.
- Lorenc patrzył na niego. Znał takich jak on, nazywano ich oficerami-pistoletami. Młodzi stażem i stopniem, ale najlepsi w jednostce. Potrafiący wykonać każde zadanie, jakie się przed nimi postawi, bez względu na trudności i przeszkody. Umiejący znaleźć się w każdej sytuacji. Prezentujący się zawsze bez zarzutu. I stawiani za wzór młodszym kolegom. Tacy zawsze mu imponowali, i – nigdy tego przed sobą nie ukrywał – też chciał takim być.
- Mówcie zatem. – Porucznik przerwał milczenie.
 - Jak wczorajsze zajęcia?
 - Dobrze... – odparł, myśląc nad doborem słów.
 - Wszystko idzie zgodnie z planem, aczkolwiek pojawiła się pewna drobna komplikacja.
 - Jaka? – Momentalnie nadstawił uszu.
 - Sekretarka profesora Krygowskiego wypytywała studentkę z Wolsztyna o moją rolę w kursie. Można

by to potraktować jako zwykłą ciekawość... – Spojrzał na twarz porucznika, chcąc wyczytać, co myśli na ten temat. Wojsko już dawno temu nauczyło go, że przykład szedł zawsze z góry, nigdy w odwrotnym kierunku. Wywiad nie różnił się w tym ani o jotę. – Ale jest coś, co skłania mnie ku innej opcji – dodał szybko, widząc zainteresowanie w oczach Ciężkiego. – W zamian za informacje obiecała studentce pomoc przy pozyskaniu odroczenia opłat za egzaminy w tym semestrze. – Streścił przebieg rozmowy z dziewczyną. – To by oznaczało, że bardzo jej zależy na informacjach...

– Zgadzam się z waszym tokiem rozumowania. – Zasepił się. Początki przedsięwzięcia i już pojawiają się trudności... Może jednak otwarcie kursu w Poznaniu, gdzie wciąż roiło się od ludzi lojalnych wobec Niemców, było błędem? – Właśnie tego się obawialiście...

– Tak.

– Bardzo dobrze, że zaproponowaliście przeniesienie kursu tutaj – pochwalił Ciężki.

– Może to jednak przypadek? – Wolał uwypuklić wątpliwości. Gdyby miało się okazać, że trop jednak jest fałszywy, byłby kryty.

– Nie możemy ryzykować. – Nerwowo potrząsnął głową. – Los dał nam dwadzieścia, może trzydzieści lat do kolejnej wojny. Ten czas musimy wykorzystać najlepiej, jak się da!

– Zgadzam się!

– Macie jakieś sugestie, jak rozwiązać problem z sekretarką? – W jego głosie słychać było wyczekiwanie. Nie wyobrażał sobie, aby teraz, kiedy po dwóch latach starań wreszcie otworzyli kurs szyfrów dla matematy-

ków, musieli go zamykać albo też przenosić do Warszawy lub Lwowa, co byłoby równoznaczne z jego likwidacją i szukaniem uczestników na nowo.

– Mam pewien pomysł... – zaczął Lorenc ostrożnie.

– Śmiało! – Ciężki zachęcił gestem ręki.

– Dowiedziałem się wcześniej, że jeden z kursantów wkrótce przedstawia pracę magisterką, a potem rozważa wyjazd na staż do Getyngi, bo ma zainteresowania w temacie ubezpieczeń.

– Który?

– Rejewski. – Lorenc sprawdził szybko w notatniku.

– Ach, to ten. – Pamiętał go doskonale, bo już na pierwszych zajęciach dał kilka celnych odpowiedzi. Zaczął nawet wiązać z nim duże nadzieje na przyszłość. Gdyby miał podjąć zatrudnienie w jakimś towarzystwie ubezpieczeń i reasekuracji, odbyłoby się to ze szkodą dla Biura Szyfrów.

– Ulubieniec profesora Krygowskiego... – dodał podporucznik

– Tak, wiem. – Ciężki cały czas był myślami na pierwszym wykładzie. – A ten wasz pomysł?

– Inni kursanci też pytają o moją rolę... – odpowiedział. – Oczywiście nie mogę zdradzić, jaka jest... Może by upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu?... I puścić przeciek, że kurs organizowany jest na zlecenie towarzystw ubezpieczeniowych zainteresowanych zatrudnieniem najlepszych studentów?... A wyróżniający się uczestnik w nagrodę otrzyma wyjazd na staż do Getyngi...

– Wyślemy tam Rejewskiego? – Przerwał mu gwałtownie.

– Tym jednym posunięciem uwiarygodnilibyśmy całą sprawę i jednocześnie wprowadzilibyśmy w błąd sekretarkę profesora – wytłumaczył Lorenc. – Co prawda ściśle separujemy tę babę od wszelkich wiadomości dotyczących kursu, ale licho nie śpi...

– Świetnie, podporuczniku! – Ciężki był wniebowzięty. – Macie moje pełne poparcie!

Rozdział 5

Czwartek 24 stycznia 1929

Porucznik Maksymilian Ciężki szykował się w schronie radiostacji wojskowej Cytadeli do kolejnego wykładu. Miał jeszcze chwilę, postanowił wykorzystać ją na sprawdzenie korespondencji przyniesionej dopiero co przez gońca z Warszawy. Złamał pieczęć na kopercie, wyjął jedną kartkę papieru złożoną na dwoje, wyprostował ją.

Niniejszem składam Panu Profesorowi podziękowanie za starania i pomoc, okazaną Sztabowi Głównemu przy zorganizowaniu kursu szyfrów, otwartego w Poznaniu w dniu 15. stycznia 1929 r.

Pismo było sygnowane przez Szefa Sztabu Głównego, generała dywizji Tadeusza Piskora. Zawijas był jednak tak nieczytelny, że gdyby porucznik nie wiedział, kto je podpisał, nie odgadłby. Adresowane było na ulicę Głogowską 74/75, ale nie zamierzał go słać zwykłą pocztą. Lepiej było poprosić Lorenca, aby dostarczył je osobiście.

Na myśl o podporuczniku szeroko się uśmiechnął. Ile razy go spotykał, tyle razy odnosił wrażenie, jakby

obserwował samego siebie kilka lat wcześniej. Też był piekielnie ambitny i miał ten dar, który cechował najlepszych oficerów wywiadu.

– Jeśli tylko będzie potrafił go pielęgnować, daleko zajdzie... – szepnął. Wbił wzrok w okno, za którym rozpościerała się biel śniegu. On sam do Dwójki trafił w 1923 roku, był dopiero porucznikiem, a właśnie co został kierownikiem komórki szyfrów niemieckich! I pomyśleć, że ojciec wiązał z nim zupełnie inne plany... W dzieciństwie uczęszczał do szkoły rolniczej i zgodnie z planami rodziciela miał po nim przejąć gospodarstwo. Potem jednak przysłała Wielka Wojna i trafił do armii niemieckiej. Na początku 1918 roku wybuch miny niemal pogrzebał go żywcem. Przeżył, ale ze względu na infekcję płuc – do których dostał się pył – nie trafił już na front, tylko na szkolenie z komunikacji radiowej. Później przydzielono go do oddziału telegraficznego utworzonego w Cytadeli już po wybuchu powstania wielkopolskiego. To właśnie tutaj poznał Antoniego Pallutha, pasjonata radiotelegrafii, jak też specjalistę od sprzętu radiowego. Niedługo potem ich drogi się rozeszły, a zetknęły z powrotem już kilka lat później.

Palluth był z kolei synem listonosza, a dzięki sumiennej nauce w poznańskim Gimnazjum św. Marii Magdaleny zwolniono go nawet z chętnego – podobnie jak brata. W czasie powstania wielkopolskiego, a potem wojny polsko-bolszewickiej służył w oddziałach łączności i radiowywiadu. Później rozpoczął studia inżynierskie na Politechnice Warszawskiej. W wolnym czasie pasjonował się krótkofalarstwem, był na przykład właścicielem stacji radiowej o znaku wywoławczym TPVA – jed-

nej z pierwszych radiostacji amatorskich działających w niepodległej Polsce – subskrybował też kilka czasopism poświęconych zagadnieniom radiotechnicznym. W 1925 roku z powodów finansowych musiał przerwać studia, ale dzięki przyjaźni z Ciężkim znalazł zatrudnienie w komórce szyfrów niemieckich.

Niedługo potem jednak przeniesiono go do rezerwy, ale tylko na papierze, jako że wciąż miał pracować dla Dwójki. Opuszczenie szeregów wojska było bowiem tylko elementem budowania cywilnej tożsamości, jaką już od czasów studiów prowadzili jego koledzy z wywiadu. Innym była praca w charakterze przedsiębiorcy, który założył firmę razem z braćmi Ludomirem i Leonardem Danilewiczami oraz Edwardem Fokczyńskim. Ten ostatni do spółki wniósł nieduży warsztat, w którym już wcześniej produkował przenośne radiostacje. Przedsiębiorstwo nazwano AVA, od znaków wywoławczych Pallutha – TPVA – oraz braci Danilewiczów – TPAV, a wkrótce zaczęło otrzymywać zamówienia z Biura Szyfrów. Wspólnicy zaprojektowali i wyprodukowali chociażby radia mniejsze od papierośnicy, używane przez polskich agentów podczas zagranicznych misji.

*

Ze względu na braki kadrowe, polski wywiad radiowy koncentrował się na wojskach lądowych, dlatego też nie zauważono, że w 1926 roku w sieci łączności marynarki wojennej Niemiec pojawiły się depesze nowego typu. Zmiana przyszła dopiero 15 lipca 1928 roku, kiedy maszyna szyfrująca Enigma – czego Polacy jeszcze wówczas nie wiedzieli – weszła na służbę do Reichswehry. Krótco potem polscy agenci ustalili, że przechwyty-

wane depesze – o zupełnie innej treści niż wcześniejsze, takie, których nie dawało się złamać do tej pory stosowanymi sposobami – nadawane są za sprawą nowego urządzenia o nazwie *Maschinenschlüsselverfahren Enigma G*. Dowiedzieli się też, że maszyna wyposażona jest w coś, co nazywane jest łącznicą i że każda jednostka wojskowa posługująca się nią co pewien czas otrzymuje nowe klucze.

Jesienią tamtego roku Ciężki wraz z dwoma kolegami – Michałowskim i Czajksnerem – spróbowali złamać nowy szyfr, ale bezskutecznie. Nie pomogły nawet starania wywiadu, który przez podstawionego człowieka zakupił Enigmę typu handlowego – niestety, mocno różniła się ona od tej używanej przez wojsko i jej znajomość nie przyniosła przełomu.

Nowy szyfr, jaki pojawił się w eterze, przyciągnął uwagę nie tylko Polski, ale też Francji i Anglii. Mocarstwa zachodnie szybko jednak uznały, że złamanie szyfru Enigmy jest niemożliwe i praktycznie zarzuciły nad nim prace. Brytyjczycy odpuścili do tego stopnia, że przestali nawet przechwytywać niemieckie depesze. Do sprawy zamierzali wrócić dopiero w momencie wybuchu wojny. Założyli, że wtedy – prędzej czy później – jakiś egzemplarz wpadnie im w ręce i wówczas będą mogli go złamać.

Polscy specjaliści jednak nie dawali za wygraną. Tyśiące podsłuchanych depesz dano do przeanalizowania matematykom – profesorom Uniwersytetu Warszawskiego – ale i oni uznali szyfr za niemożliwy do złamania. Zwrócono się zatem o pomoc do najbardziej znanego jasnowidza tamtych czasów, Stefana Ossowieckiego,

słynącego z odczytywania informacji ukrytych w zaklejonych kopertach trzymanyh w innym pomieszczeniu, odnajdowania zaginionych ludzi oraz przedmiotów czy przekazywania wiadomości od nieboszczyków. Jego nadprzyrodzone zdolności swego czasu sprawdził sam marszałek Piłsudski, z Enigmą jednak jasnowidz sobie nie poradził.

Mimo kolejnej porażki Ciężki, Palluth oraz ich współpracownicy nie zamierzali oddawać Niemcom pola. Jako że obaj byli ludźmi techniki i zachwycali się nowinkami w tej dziedzinie, postanowili do tematu podejść w nowatorski sposób. Dotarło bowiem do nich, że do odczytania nowego szyfru potrzeba zupełnie innego podejścia, bardziej matematycznego niż lingwistycznego. Było to wydarzeniem bez precedensu, jako że w czarnych gabinetach całego świata pracowali wówczas głównie filolodzy klasyczni, pisarze, dziennikarze, tłumacze, czyli przedstawiciele tych zawodów, którzy zwykle biegle posługują się językiem przeciwnika i dodatkowo, co ciekawe, szachiści. Polacy postanowili postawić na matematyków, ale – tu znów dało o sobie znać innowacyjne podejście – nie profesorów, tylko studentów, czyli osoby o niezwykle otwartych umysłach, a przy tym żadne nowych wyzwań i chętne do pracy.

W tym czasie Biuro Szyfrów organizowało dwa kursy: na Uniwersytecie Warszawskim odbywało się szkolenie przyszłych specjalistów sekcji sowieckiej, sekcja niemiecka postawiła na Uniwersytet Poznański, gdzie pracował wybitny matematyk, profesor Zdzisław Krygowski – prezes Polskiego Towarzystwa Matematycznego i przedstawiciel lwowskiej szkoły matematycznej,

jednej z najlepszych na świecie. Jego wykłady cieszyły się dużym zainteresowaniem między innymi dzięki temu, że duży nacisk kładł na zastosowanie teorii matematycznych w rozwiązywaniu problemów praktycznych. Idealnie więc wpisywał się w zamierzenia Ciężkiego i Pallutha.

Już w ubiegłym roku poprosili profesora Krygowskiego, aby wytypował studentów trzeciego i czwartego roku posługujących się biegle językiem niemieckim i mogących pochwalić się co najmniej dobrymi wynikami w nauce. Rekrutację od początku prowadzono w konspiracji, jako że sekretarka profesora miała niemieckie korzenie. Wskazane przez Krygowskiego osoby zostały sprawdzone przez wywiad – podobnie jak ich rodziny – pod kątem lojalności wobec państwa polskiego. Tych, którzy przeszli próbę, odwiedził jeden z zaufanych studentów i zaprosił na rozmowę z Ciężkim oraz majorem Franciszkiem Pokornym – jego szefem. Potem wybrano docelową grupę, a wszystkich bez wyjątku zobowiązano do absolutnej dyskrecji, odbierając stosowne ślubowanie.

Ponieważ prawdziwy cel kursu szyfrów należało utrzymać w tajemnicy, zorganizowano go tak, jakby były to zwykłe zajęcia dodatkowe dla pilnych studentów: pod pozorem uzupełniania wykładów z algebry prowadzonych przez profesora Krygowskiego. Szkolenie odbywało się dwa razy w tygodniu, wieczorami, po zajęciach na uczelni. W planie była historia szyfrów i ich różne odmiany, korzystano przy tym głównie z omówionych w książce Marcela Givierge'a *Kurs kryptografii*, którą współcześni śmiało nazywali Biblią kryptologów i kryptografów. Nieco później zamierzano przeprowadzić

również ćwiczenia praktyczne na przechwyconych niemieckich depešach oraz nauczyć kursantów budowy prostych urzadzeń technicznych.

– Dzień dobry... Można juŹ wchodzić? – Ciepły damski głos przerwał rozmyšlania porucznika.

– Dzień dobry. – Ciężki instynktownie wyprostował się na krześle. – Oczywiście, zapraszam! – Chwycił za kartki leŹące na stole, cały czas jednak uważnie przypatrywał się kobiecie. Kiedy zajęła miejsce, a na ławce położyła ksiąŹki związane sznurkiem, ušmiechnął się mimowolnie. To ją sekretarka profesora próbowała wykorzystać do zdobycia informacji. Jej samej o nieczne zamiary nie podejrzewał. Przed rozmową z kaŹdym uczestnikiem kursu wywiadowcy przygotowali obszerny dossier. Z dokumentów zebranych na temat dziewczyny z Wolsztyna wiedział, Źe pochodzi z bardzo patriotycznej rodziny, a jej dziadek ogromnie przysłuŹył się krajowi w czasie powstania wielkopolskiego.

– Dzień dobry! – Do sali zaczęły wchodzić kolejne osoby.

– Dzień dobry! – odpowiedział Ciężki. Dostrzegł Mariana Rejewskiego, niepozornego męŹczyznę z wysokim czołem. To właŹnie on zaznaczył swoją obecność juŹ na pierwszym wykładzie. Był teŹ Henryk Zygalski z okularami w rogowej oprawie, dwudziestojednoletni student trzeciego roku, którego rodzice prowadzili pracownię krawiecką. Z akt pamiętał doskonale, Źe ukończył to samo Gimnazjum św. Marii Magdaleny, co Palluth.

Sala się zapełniała, rozlegały się szepty. Po rzucanych ukradkiem spojrzeniach uczestników było widać,

że niecierpliwie czekają na rozpoczęcie kolejnego wykładu.

Porucznik odczytał listę obecności. Byli wszyscy, dokładnie dwadzieścia trzy osoby, w tym gronie dwie studentki. To ich wytypował profesor Krygowski, biorąc pod uwagę nie tylko doskonałą znajomość języka niemieckiego, ale też umiejętności tak niezbędne w pracy kryptologa: systematyczność, cierpliwość i zdolności analityczne.

Czy nasz pomysł był dobry? – Nagle porucznika dopadły wątpliwości. Uznali, że największe szanse ataku na nowy szyfr będą mieć młodzi – a przy tym wolni od rutyny – znający doskonale język niemiecki i posiadający zdolności i talenty, które trudno co prawda zdefiniować, ale które są niezbędne w pracy dobrego kryptologa. No i to coś, co można nazwać pewnego rodzaju intuicją... A jeśli się mylili, jeżeli żadna z osób obecnych na sali nie nada się do pracy w Biurze Szyfrów? – Z tą myślą podniósł dłoń, dając do zrozumienia, aby zebrani ucichli.

To wystarczyło, w sali zrobiło się, jak makiem zasiał.

– Kłaniam się państwu raz jeszcze. – Uśmiechnął się delikatnie. Musiał robić swoje, odwrotu nie było, za to czas do następnej wojny kurczył się z każdym tygodniem. – Zaczynamy kolejne zajęcia. Dzisiaj zapoznam państwa z szyfrem transpozycyjnym, czyli przestawieniowym, będącym wprowadzeniem do metody podwójnego przestawienia. Są to rzeczy, o których wiedza jest już powszechna, ale które konieczne trzeba przerobić, aby móc zająć się szyframi bardziej skomplikowanymi. – Sięgnął po kredę, cały czas patrzył jednak

uważnie na sałę. Lustrował kolejne twarze, próbując odgadnąć, kto z obecnych za jakiś czas spróbuje zrobić to, czego jeszcze nikomu się nie udało.

Złamać Enigmę.

Rozdział 6

Sobota 26 stycznia 1929

Lorenc stał przed lustrem, wpatrując się w twarz, której główną dominantą – jak zawsze, odkąd sięgał pamięcią – był nos.

Pyra.

Kartofel.

Ziemniak.

Bulwa.

Przymknął oczy, przez chwilę znów znalazł się na podwórku, tuż obok trzepaka, i bił się z wyższym o głowę synem dozorczy.

Podniósł powieki, uśmiechnął się szeroko. Kutergęba może i był od niego większy oraz silniejszy, ale on – mały Mundek – sprął go wówczas na kwaśne jabłko, już wtedy umiał się bić jak należy! Co prawda zapłakany kolega pobiegł na skargę do rodziców, a on sam wkrótce potem dostał w skórę od własnego ojca, ale warto było.

Odetchnął głęboko. Nos, jaki miał, taki miał, nauczył się z nim już żyć, ba, można było powiedzieć, że się ze sobą zaprzyjaźnili.

Klasnął w dłonie z radością, potem wylał na nie odrobinę wody kolońskiej Króla Stasia według receptury z 1790 roku. Zaklaskał raz jeszcze, ale dużo delikatniej,

po czym wtarł perfumy w policzki i szyję. Od razu poczuł dyskretny, a przy tym niezwykle subtelny zapach. Była to jedna z niewielu ekstrawagancji, na jaką mógł pozwolić jego chudy pugilares. Chociaż w sumie nie był to żaden zbytek. Jeśli przyjazd do Poznania miał mu dać wymarzony sukces nie tylko na gruncie zawodowym, ale i prywatnym, to nie mógł przecież roztaczać wokół siebie byle jakiej woni!

Właśnie, służba! – Z tą myślą uśmiechnął się szeroko, zadowolony z dotychczasowego rozwoju wydarzeń. Po rozmowie z porucznikiem Ciężkim od razu przystąpił do działania i przygotował oficjalne pismo do sekretarki profesora Krygowskiego z prośbą o wytypowanie przez niego najlepszego uczestnika kursu uzupełniającego w celu przekazania nagrody. Dokument wystawił na firmowym druku przedsiębiorstwa AVA, który z Warszawy dostarczono mu samolotem. Co prawda w zakresie działania spółki ubezpieczenia nie leżały, ale przecież w razie jakichkolwiek podejrzeń ze strony sekretarki zawsze można było wyjaśnić, że szykuje się ona do rozszerzenia oferty. W każdym razie pismo powinno stłumić jej ciekawość.

A on swoją dokładną pracą na pewno zwrócił uwagę Ciężkiego. Był pewien, że kiedy skończy się kurs – czyli za jakieś dwa miesiące – odpowiednia adnotacja znajdzie się w jego aktach. I wtedy – wreszcie! – dostanie upragniony awans na porucznika!

Z tym przeświadczeniem opuścił mieszkanie w kamienicy przy ulicy Chwaliszewo 49 i chwilę potem wsiadł do tramwaju zmierzającego do najbardziej reprezentacyjnej części miasta, czyli Dzielnicy Cesarskiej.

Restauracja Palais Royal była jakby schowana między dwoma okazałymi budynkami: z lewej uwagę przyciągał Dom Przemysłowców, z prawej Biblioteka Raczyńskich. Pomędzy nimi widać było wąskie, niepozorne arkady, za którymi krył się ogródek, a za nim wolno stojący budynek samej restauracji.

Otwarto ją 31 marca 1925 roku, a już nieco ponad trzy miesiące później lokalem – i całym Poznaniem – wstrząsnęła okropna zbrodnia. 45-letni kierownik restauracji Andrzej Maciaszczyk został zastrzelony na oczach gości przez jednego z klientów. Późniejsze relacje gazet były rozbieżne: jedne pisały, że pijany mężczyzna – które mu towarzyszyły trzy osoby – został zatrzymany w wejściu przez portiera, który wezwał kierownika. Inne, że dostał się do środka i to w sali doszło do awantury. W każdym razie w trakcie wymiany zdań gość z kieszeni wyciągnął naglerewolwer, przystawił go Maciaszczykowi do czoła i wypalił. Dwóch lekarzy obecnych na sali rzuciło się na pomoc, rannego przewieziono na operację do Szpitala Miejskiego, niestety zmarł po dwóch godzinach.

Awanturnik co prawda salwował się ucieczką, ale szybko został zatrzymany przez policjantów z pobliskiego posterunku i trafił do aresztu. Kilka miesięcy później został oskarżony przez prokuratora o spowodowanie śmierci z niedbalstwa. Podczas procesu zeznał, że otrzymał zwrot pewnej sumy pieniędzy od dłużnika i z przyjaciółmi ruszył w miasto. Odwiedzili kilka lokali, wreszcie dotarli do Palais Royal, ale tego, co tam się działo, już nie pamiętał, zasłaniając się wypitym alkoholem. Następnego dnia zapadł wyrok: rok więzienia za lekkomyślne spowodowanie śmierci.

Kiedy Lorenc wszedł do środka, od razu uderzył go przepych wnętrza przypominającego bardziej pałac niż lokal rozrywkowy. Największe wrażenie zrobiły na nim pozłacane krzesła i stoły. Przybytek ten uchodził za najwytworniejszy na placu Wolności, na którym mieściło się mnóstwo restauracji i kawiarni – a niektórzy uważali, że i w całym Poznaniu nie miał sobie równych. Śmietanka towarzyska pojawiała się tu na balach, dancingach i przyjęciach. Co jakiś czas organizowano nawet pokazy mody. Słowem: przepych i blichtr w najczystszej postaci. Kiedy to sobie uświadomił, przestraszył się własnej śmiałości. Czego szukał tu ktoś taki, jak on?!

– Żony... – Szybko sam sobie odpowiedział na to pytanie. Zacisnął zęby, wodząc wzrokiem po dorodnych sylwetkach dżentelmenów, którym towarzyszyły ubrylantowane panie. Ciemnymi oczami uważnie przypatrywał się otoczeniu, sprawiając wrażenie wciąż zamysłonego, kiedy tak naprawdę rejestrował dziesiątki detali. Na szczęście gdzieś udało mu się wypatrzyć kobiety pozbawione męskiego towarzystwa.

Podporucznik skierował swe kroki do drugiej z dwóch dużych sal jadalnych – restauracja miała jeszcze kilka mniejszych przeznaczonych na organizację bankietów – i od razu wpadły mu w oko dwie urocze panie siedzące samotnie przy stoliku.

Pierwsza dama ubrana była w trzyczęściowy komplet z dżerseju. Miała krótkie ciemne włosy przewiązane szeroką opaską – co sprawiało, że jej postać wydawała się odrobinę wyzywająca – szyję zdobił zaś sznureczek pereł. Po jej stonowanych ruchach od razu widać było salonowe maniery, wyglądała przy tym na majątną.

Lorenc wciągnął powietrze do płuc, po czym wypuścił je z sykiem. – Jak skakać, to tylko na głęboką wodę – pomyślał, mając w głowie jeden z zapisów wojskowego regulaminu mówiący o tym, że łączne pobory jego i przyszłej żony musiały być co najmniej równe pensji kapitana. Ewentualną różnicę in minus musiała pokrywać rodzina, w tym celu niezbędne było podpisanie przez nią specjalnego zobowiązania. Co więcej, podporucznik wiedział, że musi się śpieszyć z ożenkiem, jako że chodziły słuchy o planowanych zmianach w tym zakresie. Od kandydatek na małżonkę oficera miano wymagać co najmniej wykształcenia średniego i ogłady towarzyskiej, a wymogi finansowe zamierzano podnieść do rangi majora.

Lorenc był już tylko krok od stolika, kiedy jego wzrok padł na drugą z pań. W czarnej sukni z długimi rękawami wyglądała czarująco. Toalety dopełniała takiego samego koloru torebka, a we włosach lśnił brylantowy diadem. Miała asteniczną budowę i była piekielnie przystojna.

– Szanowne panie wybaczą moją śmiałość – skłonił się nisko, pamiętając, że przy pierwszym spotkaniu nie całuje się dam w dłoń – ale zauważyłem, że pozbawione są panie towarzystwa i pomyślałem, że swoją skromną osobą mógłbym czarującym paniom umilić czas.

– A kim pan jest? – Ta, którą podporucznik podejrzewał o salonowe maniery, nie zamierzała przebierać w słowach.

– Panie pozwolą, że się przedstawię. – Cały czas stał obok stolika. – Edmund Lorenc. – Skłonił się raz jeszcze.

– Nie znam. – Prychnęła lekceważąco.

– Ja też nie znam... – Piękność w czarnej sukni odezwała się dużo uprzejmiejszym tonem. Przy odrobinie wyobraźni można nawet było uznać, że osoba podporucznika ją nieco zainteresowała. Niski nie był, a nieco pociągła twarz mogłaby się bardzo podobać kobietom, gdyby nie jeden feler: przesadnie duży nos.

– Z których Lorenców? – Ta, która odezwała się jako pierwsza, poprawiła opaskę na włosach.

– Z żadnych! – warknął w myślach, na głos jednak powiedział:

– Panie pozwolą, że się przysiędę?

Dama w czarnej sukni już miała wyrazić aprobatę, ale koleżanka powstrzymała ją gwałtownym ruchem dłoni.

– Czekam na kogoś. – Ta bardziej wyniosła spojrzała na mężczyznę lekceważąco. Powiedziała to przy tym tonem dającym jasno do zrozumienia, że mówi nieprawdę. Chciała, żeby nieznajomy miał tego świadomość.

– Pani też oczekuje towarzysza? – Lorenc obdarzył kobietę w czerni najbardziej uwodzicielskim uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć. W dzieciństwie był typem chłopca, o jakim mawia się: „chciałbym, ale się boję”. Walczył jednak z nieśmiałością tak długo, aż nauczył się działać bez względu na towarzyszące mu zawsze napięcie emocjonalne. Tak było też i tym razem.

– Ja... – Zawahała się.

– Czy ten typ narzuca się paniom? – Obok podporucznika wyrósł nagle mężczyzna wyższy od niego o głowę.

Lorenc spojrział na nieznajomego. Zlustrował go szybko wzrokiem i aż jęknął w duchu. Birbant miał na sobie

idealnie dopasowany męski garnitur codzienny w średniej wielkości kratę i krawat w paski. Całości obrazu dopełniał zegarek Patek na przegubie, włosy przyлизane brylantyną i woń drogiej wody kolońskiej. Z kimś takim nie miał nawet co stawać w szranki.

– Nie – odpowiedziała ta w czarnej sukni.

– Tak. – Wyniosła także zdążyła przyjrzeć się bon vivantowi i błyskawicznie podjęła decyzję.

– Może trochę... – Piękność w czerni najwyraźniej podążyła za koleżanką i doszła do takiego samego wniosku.

– Tam jest wolny stolik. – Mężczyzna spojrzał na Lorenca, pokazując mu dłonią przeciwległy kąt sali, ale nawet nie patrzył w tym kierunku. – Te miejsca są już zajęte.

Podporucznik zerknął raz jeszcze na kobietę w sukni, uśmiechnął się przy tym smutno, jakby chciał w niej wyzwolić wyrzuty sumienia.

– Piękne panie pozwolą, że się przedstawię. – Kiedy nieznajomy się uklonił, od włosów odbiły się świetlne refleksy. – Dyrektor Leon Zalewski! – Nawet nie patrzył na stojącego wciąż obok Lorenca, jakby ten był lokajem, na którego nie zwraca się uwagi. – Pan tu jeszcze jest?

– Ty pomarszczony chuju starego rabina! – wrzasnął podporucznik w myślach. Miał ochotę wyrzucić rywala w pysk, szybko się jednak opanował. Wiedział, że jakkolwiek awantura mogłaby przyciągnąć uwagę, a tego przecież musiał unikać jak diabeł święconej wody. Poza tym, po upokorzeniu ze strony pięknych dam nie miał już czego tutaj szukać.

Zrobił w tył zwrot i wyszedł z restauracji. Zaraz potem zauważył nadjeżdżający tramwaj. W pierwszej chwili

chciał do niego wskoczyć, ale zrezygnował. Spacer będzie lepszy na urażoną dumę...

Ruszył trotuarem, przyglądając się z zazdrością mijającym parom trzymającym się pod ręce i obdarzającym się czułościami. Jaka szkoda, że nie mógł się tutaj pokazać w mundurze!

Szedł wolno, krok za krokiem, nie było mu śpieszno do pokoju, w którym chrapali już pewnie obaj współlokatorzy.

Ta w czarnej sukni była piękna... – Przed oczami stała mu dama z restauracji. Gdyby nie jej wyszczekana towarzyszka, może coś by z tego było? Miał wrażenie, że ją zaintrygował i kto wie, jak potoczyłyby się losy tej znajomości, jeśliby miał możliwość na choćby chwilę rozmowy. Nie dano mu jednak szansy...

– Co za sucze plemień pierwszej klasy! – zaklął szpetnie, wspomniawszy damulkę z opaską na włosach. Żeby tak ten amant zawrócił jej w głowie i aby się potem okazało, że to tylko matrymonialny oszust, który chce jedynie kobietę omotać, położyć łapę na jej pieniądzach i dać nogę! Wtedy doceniłaby kogoś takiego jak on, kogo bałamucenie facetek nie interesuje! – Szedł, zgrzytając zębami. Znowu miał pecha! – Z tą myślą zrobiło mu się jeszcze ciężiej na duszy. Właśnie, wszystko przez Hipcia! Gdyby tutaj z nim dzisiaj był, to znając szczęście kolegi, na pewno poszłoby mu lepiej i nie doznałby tak bolesnego dyshonoru!

Na kolejne podboje muszą koniecznie wybrać się razem! – Wpadłszy na ten pomysł, uśmiechnął się nieznacznie. Musiał działać dalej, nie wolno mu było się poddawać!

Środa 30 stycznia 1929

Henryk Zygalski szedł żwawym krokiem, próbując w ten sposób trochę się ogrzać, mróz panujący na dworze przenikał bowiem do szpiku kości, głównie za sprawą silnego wiatru. Miał to szczęście, że jego rodzina mieszkała w Poznaniu, nie musiał więc korzystać z akademika, jak wielu jego kolegów. Ten zlokalizowany był zaledwie 700 metrów od Zamku Cesarskiego, co pozwalało żakom oszczędzać na kosztach biletów tramwajowych.

W 1919 roku, po odzyskaniu przez kraj niepodległości, w stolicy Wielkopolski uruchomiono Wszechnicę Piastowską, która już w następnym roku zmieniła nazwę na Uniwersytet Poznański. Na samym początku działalności na studia zapisały się dwa tysiące osób, a uczelnia – stawiająca przecież dopiero pierwsze kroki – zaczęła odczuwać wielkie braki lokalowe. Jednym z koniecznych i pilnych zadań była budowa akademika dla studentów spoza miasta. Inwestycję – razem z postawieniem szpitala uniwersyteckiego – przeprowadzono w latach 1925-1929. Kredyt na ten projekt zaciągnięto w Banku Cukrownictwa, a pośpiech był tak wielki, że prace rozpoczęto, zanim jeszcze uregulowano kwestie administracyjne.

Pierwszą część budynku ukończono w maju 1927 roku i już wtedy zamieszkał w nim pierwszy rocznik studentów. Za kilka miesięcy mieli się jednak wyprowadzić, jako że obiekt przeznaczono na hotel dla odwiedzających Powszechną Wystawę Krajową mającą rozpocząć

się 16 maja tego roku i potrwać aż do końca września. W czasie PeWuKi zamierzano tu przyjmować wycieczki studenckie i akademickie.

Architektura budowli – zaprojektowanej przez Rogera Sławskiego – posiadała monumentalny charakter, przede wszystkim za sprawą olbrzymiego portyku z kolumnadą składającą się z sześciu kolumn, w tym dwóch „falszywych”, będących elementami ścian – i mocno wysuniętych skrzydeł bocznych. Ile razy Zygałski zmierzał ku wejściu głównemu, tyle razy odnosił wrażenie, jakby gmach chciał go objąć potężnymi ramionami.

Po ukończeniu trzypiętrowy budynek mieścił trzy-sta pokoi – większość była jednoosobowa – oraz dwie przestronne sale widowiskowo-dydaktyczne. Do tego w kompleksie znalazło się miejsce na biura administracji, czytelnię, kaplicę, pralnię, prasownię, pięć mieszkań dla obsługi, fryzjernię i kuchnię centralną mogącą wydać nawet 1200 obiadów dziennie. Dwie sale jadalne mogły w tym samym czasie pomieścić 186 osób. Cała inwestycja pochłonęła ponad 2,5 miliona złotych.

Zygałski nie posiadał legitymacji mieszkańca akademika, ale portier doskonale go znał, nie miał więc problemów z dostaniem się do środka. Zresztą, mężczyzna lubił swoją pracę i studentów, starał się nie robić im problemów. Wyjątkiem było przestrzeganie zakazu wpuszczania studentek – kobiety nie miały prawa gościć w akademiku – i opłaty dwudziestu groszy za otwieranie drzwi zamykanych o północy tym, którzy zbyt długo zabalowali na mieście.

Młodzieniec był już na ostatniej kondygnacji, kiedy na korytarzu natknął się na gospodarza piętra. Grzech-

nie się uklonił, bo z nim – a szczególnie z kuratorem akademika – trzeba było dobrze żyć. Inaczej ten drugi mógł się nie zgodzić na kandydaturę mieszkańca zgłaszaną przez korporację studencką Bratnia Pomoc, a wtedy trzeba było szukać pokoju na mieście. Musiał myśleć nie tylko o sobie, ale też o kolegach.

Marian Rejewski i Jerzy Różycki zajmowali jeden z czterdziestu sześciu pokoi dwuosobowych. Kiedy Zygałski wszedł do środka, zobaczył jeszcze dwóch innych studentów. Od razu zorientował się, że trafił w środek jakiejś burzliwej dyskusji.

– A ja ci mówię, że nie możemy na to przystać! – Różycki był aż czerwony na twarzy ze wzburzenia. – Szwa-by nie odpuszczą i zrobią wszystko, żeby odzyskać utracone ziemie!

– Francja i Anglia im na to nie pozwolą. – Adolf Wiczorek powiedział to od niechcienia, jakby odczytywał listę sprawunków w drogerii. Uważał się za najbardziej przystojnego z obecnych w pokoju, jak i na kursie szyfów. Faktem było, że miał ogromne powodzenie u kobiet studiujących na całym wydziale matematyczno-przyrodniczym, bez względu na rocznik.

– Uważam, że ani Francuzi, ani Anglicy za nas, Polaków, walczyć nie będą. – Jan Cichy był zupełnym przeciwnieństwem przedmówcy. Niski, krępy i z pryszczami na twarzy o zainteresowaniu ze strony płci przeciwnej mógł tylko marzyć.

– Zgadzam się z tobą. – Zygałski postanowił włączyć się w wymianę myśli. – Tytuły gazet niemieckich znów krzyczą o zwrot Pomorza, Górnego Śląska i naszej Wielkopolski...

– Ale to są polskie ziemie! – Cichy się egzaltował.
– Zrabowane naszej ojczyźnie przez zaborców!

– Z perspektywy Republiki Weimarskiej należą się Niemcom. – Skonstatował Różycki kwaśno. – Nie bez powodu Traktat Wersalski nazywają Dyktatem Wersalskim. Oni wciąż wierzą, że tutaj wrócą...

– Nigdy! – krzyknął Cichy. – Nie pozwolimy im na to!

– To, co powiem, może wam się nie spodobać, ale taka jest prawda. – Rejewski pierwszy raz zabrał głos w dyskusji. – Niemcy jako naród mają nad nami jedną kluczową przewagę: są niezwykle zdyscyplinowani i uporządkowani. To ich słynne *Ordnung muss sein* oddaje w pełni ich charakter. Wiem, co mówię. – Płynnie posługiwał się językiem niemieckim, a co ważniejsze, doskonale rozumiał mentalność dawnych zaborców, a dzisiejszych sąsiadów.

– Co ty wiesz zza tych swoich grubych okularów!
– Wieczorek prychnął lekceważąco.

– Okularników lepiej się nie czepiaj! – odpowiedział Zygalski, nie kryjąc irytacji. Sam miał szkła niewiele cieńsze od Rejewskiego i nie znosił, kiedy ktoś z tego faktu się nabijał.

– Koledzy, tylko bez denerwowania się! – Różycki postanowił wystąpić jako rozjemca. Miał pogodne usposobienie i był powszechnie lubiany przez kolegów, mimo że był szalenie inteligentny, a przez to mógł liczyć na większe względy płci przeciwnej od pozostałych. Śmiało mógł w tym zakresie walczyć o palmę pierwszeństwa z Wieczorkiem, choć nie był równie przystojny jak rywal.

– Moje bryle tak ci przeszkadzają? – Rejewski spojrział na adwersarza, końcem palca wskazującego poprawiając okulary na nosie. Dodawały mu powagi, choć tak po prawdzie, wyglądał dostojnie i bez nich. Jeśli ktoś mógł z samego tylko wyglądu być kojarzony z matematyką już od pierwszego rzutu oka, to właśnie on. Był mężczyzną niewysokim i niepozornym, wśród kolegów studentów nie wyróżniał się zbytnio, za to zwrócił uwagę wykładowców swoimi umiejętnościami matematycznymi i zacięciem: dla niego nie było problemu, którego nie dałoby się rozwiązać. Wybrał studia matematyczne, bo po ich ukończeniu chciał pracować w ubezpieczeniach, jako że jego krewny był jednym z założycieli Towarzystwa Ubezpieczeniowego Westa w Poznaniu. Na wykłady do profesora już nie musiał uczęszczać, kończył bowiem pisać pracę magisterską i zastanawiał się nad robieniem kariery u boku Krygowskiego. – Taki argument ad personam nie dotyczy meritum sprawy. – Cały czas mówił bardzo spokojnie. W końcu miał dwadzieścia trzy lata i sześcioro starszego rodzeństwa, więc było dużo czasu, aby nauczyć się rozwiązywania konfliktów. – Powinniśmy wziąć pod uwagę, że jesteśmy studentami i niezadługo zaczniemy pracować na rzecz rozwoju naszej ojczyzny. A teraz, dzięki kursowi szyfrów mamy okazję zrobić coś dobrego dla wojska! – Użył ogólnej nazwy, gdyż nikt z uczestników nie wiedział, jaka konkretnie jednostka organizuje zajęcia, nie mówiąc już o udziale wywiadu.

– Ale te wykłady są nudne... – Cichy skrzywił się ogromnie. – Ta wiedza nic nie daje...

– Nudne? – Rejewski zmrużył oczy. – Raczej pasjonujące!

– Powinniśmy się cieszyć, że na miejsce kursu wybrano Wielkopolskę i czuć wielką dumę, że nas wytypowano jako uczestników! – Różycki poparł kolegę.

Nie mógł wiedzieć – podobnie jak reszta towarzystwa – że pierwszym pomysłem, jaki narodził się w Biurze Szyfrów, było zorganizowanie kursu w stolicy. Poręcznik Ciężki postanowił jednak najpierw wy badać grunt u pewnego profesora z Uniwersytetu Warszawskiego – jednocześnie weterana dekryptażu z czasu wojny z Rosjanami – poprosił go o opinię na temat niemieckiego szyfru przedstawienia podwójnego⁸. Profesor uznał, że szyfru nie da się złamać, nie wiedział, że Ciężki razem z kolegami radzili sobie z nim już od jakiegoś czasu. To zaważyło na decyzji, aby kursu nie robić w Warszawie, tylko szukać innej lokalizacji.

Oficjalnie za Uniwersytetem Poznańskim przemawiał fakt, że kursanci znali mentalność wroga i język niemiecki – jego budowę, słowotwórstwo, fleksję i składnię – a co ogromnie istotne, także ten potoczny, którego nauczyli się na podwórkach. Wcześniej robiono przy miarki w Warszawie, ale nie znaleziono żadnych kandydatów z dostateczną znajomością języka Goethego. Na korytarzach Dwójki szeptano jednak, że za wyborem stolicy Wielkopolski zaważył lokalny patriotyzm Ciężkiego, Pallutha i Michałowskiego – Wielkopolan, jakby nie było – bo przecież w kraju były jeszcze dwa inne uniwersytety z matematyką stojącą na jeszcze wyższym poziomie – Kraków i Lwów – gdzie na pew-

⁸ Niem.: *Doppelwürfelverfahren*.

no znalazłoby się odpowiednio wielu studentów biegle szwargocących.

– Ja tam jestem dumny wielce! – rzekł Cichy. – I czuję, że biorę udział w jakimś ważnym przedsięwzięciu.

– Ważny to będzie sobotni dancing! – wypalił Wieczorek. – Idę na niego z panną Zosią...

– Tobie tylko bałamutki w głowie... – Zygalski pogroził mu żartobliwie palcem.

– Nie moja wina, że waszych propozycji żadna dama nie przyjmuje. Z takim wyglądem jednak nie ma się co dziwić... – Wieczorek ciął słowami jak świeżo naostrzoną brzytwą.

– Jesteś niekoleżeński – wycedził Cichy.

– A ja miałbym ochotę nazwać cię bałwanem, ale nie zrobię tego wyłącznie ze względu na wysoki poziom kultury osobistej, jakim zwykłem się szczycić – odciął się Różycki Wieczorkowi.

– Jeśli wam się wydaje, że znajomość szyfrów ma jakąś większą wagę, to jesteście w kardynalnym błędzie.

– Przystojniak czuł, że wszyscy zwrócili się przeciwko niemu. – Historia wojskowości jasno wskazuje, że wojnę wygrywa się lub przegrywa na polu bitwy, a nie w kawiarniach i restauracjach, gdzie szpiedzy wymieniają się informacjami. Rola wywiadu jest wielka, ale nie aż tak, żeby decydować o biegu wydarzeń...

– Nie zgadzam się z tobą. – Zygalski przerwał mu bezceremonialnie. – Sytuacja polityczna jest bardzo skomplikowana i wiedza o poczynaniach przeciwnika może być kluczowa. Nie jesteś z pogranicza, więc nie masz takiej wiedzy na ten temat, jak miejscowa ludność.

– Zaczął opowiadać. Kiedy Niemcy przegrały Wiel-

ką Wojnę, granice odrodzonej Rzeczypospolitej wytyczała Międzysojusznicza Komisja. Wiele miejscowości zmieniło wówczas swoje miejsce na mapie i zaczął się exodus ludności. Niemcy z utraconych wsi wyjeżdżali do sąsiednich miejscowości – położonych już za granicą państwową – albo nawet w głąb swojej ojczyzny. Także wielu Polaków zdecydowało się na przeprowadzkę. Zdarzały się przypadki, że gospodarze polscy i niemieccy dochodzili do porozumienia i wymieniali się gospodarstwami. Pozostała jednak grupa osób, która – jak stare drzewa – nie zdecydowała się na przesadzenie w nowe miejsce, wolała zostać na starym, bez względu na to, że ustalenia komisji zmieniły przynależność państwową. To z kolei miało wpływ na zerwanie więzów rodzinnych, jako że liczne wsie oddalone od siebie zaledwie o kilka kilometrów przedzieliła granica, której nie wolno było przekraczać bez paszportu, a ten był dokumentem bardzo droгим. Do tego trzeba było też brać pod uwagę liczne mieszane małżeństwa, które zawierały przed wybuchem wojny.

– Ludzie się tutaj wykotłowali. I teraz my, Polacy, często pracujemy ręką w rękę z Niemcami – dodał Różyci.

– Byleby tylko te niemieckie ręce nie chciały nas szarpać jak niesforny kundel. – powiedział Cichy.

– Skąd masz taką wiedzę? – Wieczorek skierował to pytanie w kierunku Zygalskiego.

– Na pewno nie z tego czasopisma. – Ten w odpowiedzi pokazał na plecak kolegi, z którego wystawał najświeższy numer „Gazety Porannej”, brukowca noszącego dawniej tytuł „2 Grosze”.

Przystojniak zerknął na niego spod byka.

Zygalski nie odwzajemnił spojrzenia, nie miał ochoty na jakiegokolwiek konfrontacje z kolegą, który miał opinię konfliktowego. Wolał to rozegrać w inny sposób. Uśmiechnął się więc, po czym zachichotał.

Później w jego ślady poszedł Cichy. Następnie zrobił to Różycki, a chwilę potem pokój trząsał się od rechotu. Śmiechem zanosili się wszyscy, bez wyjątku, łącznie z Wieczorkiem.

Rozdział 8

Niedziela 3 lutego 1929

– Mam problem. – Hipolit Pech od dłuższej chwili bał się pełnym kieliszkiem wódki, co w jego przypadku było do tej pory rzeczą niespotykaną.

Lorenc spojrział na kolegę nienawistnie, ale nic nie powiedział. Po jego zaciętym wyrazie twarzy można było poznać, że jest mocno niezadowolony. Nie po to zaprosił go tutaj, żeby ten zwierzał mu się z bolączek swojego życia. Miał mu jedynie odstąpić nieco swojego szczęścia w obcowaniu z płcią piękną!

Jak tak dalej pójdzie, to przez te wieczne eskapady z Hipciem nie będzie miał za co kupować jedzenia i tym samym kredyt w wojskowej spółdzielni spożywczej zacznie rosnać w zastraszającym tempie. Albo szybko znajdzie kandydatkę na żonę, albo pójdzie z torbami!

– Narzeczona mnie oszukała. – Pech opacznie rozumiał milczenie podporucznika, będąc przekonanym, że kolega zamienia się w słuch.

Lorenc dalej milczał, zastanawiając się, co za lichog podkusiło, aby zgadzać się na propozycję przyjaciela i przychodzić właśnie tutaj, do Ogrodu Strzeleckiego. Samo miejsce było urokliwe, to fakt. Należało do Towarzystwa Akcyjnego Gastronomja, które w Poznaniu miało aż pięć zakładów – a także jeden w Chorzowie – i było prawdopodobnie największym konsorcjum gastronomicznym w całym kraju. Najbardziej znanym lokalem był Belweder mieszczący się w gmachu Targów Poznańskich. Ogród Strzelecki – zakład nr 5 – znajdował się na Szelągu, jednym z ulubionych miejsc wycieczkowych poznaniaków. Położone nad Wartą tereny upodobał sobie już wiek temu, kiedy to miasto było twierdzą. Wówczas jej teren można było opuścić Bramą Szelągowską zlokalizowaną między Cytadelą a Wielką Śluzą i wzdłuż Warty dotrzeć do dużego ogrodu rozrywkowego z restauracją, kawiarnią, kręgielnią i pawilonem dla orkiestry przygrywającej gościom, których trzy przestronne tarasy mogły łącznie pomieścić pięć tysięcy gości.

Od kolegi Lorenc wiedział, że wielu poznańskich kawalerów przychodziło tu tylko w jednym celu: na migane, czyli tańce, podczas których najpierw obserwowano się panny, aby potem – z jedną wybranką – wywijać do upadłego. Jak twierdził Pech, niejedna poważna znajomość została tu zawarta.

Teraz jednak trwała zima i Ogród Strzelecki świecił pustkami. Orkiestry nie było, muzyka płynęła jedynie z płyt i podporucznik o tańcach z przyszłą narzeczoną mógł tylko pomarzyć.

– Nic nie powiesz? – rzekł Pech z wyrzutem w głosie.

– A co mam powiedzieć? – odciął się Lorenc. Koledze nie zależało przecież na podrywaniu urodziwych kobiet – miał swoją narzeczoną! – i z lenistwa zaproponował lokal w bliskim położeniu Cytadeli. Jakby zapomniał, jaki cel mu przyświecał! – Widzisz tu jakąś godną uwagi partię?

– Właśnie weszły dwie – odparł radośnie, wykonując znaczący ruch głową w kierunku kobiet wieszających kożuchy na oparciach krzeseł dwa stoliki od nich.

Podporucznik od razu powędrował spojrzeniem we wskazanym kierunku. Jedna z dam miała na sobie luźną suknię przewiązaną cienkim paskiem. Była ścięta krótko na chłopczycę – nieco przebrzmiały krzyk mody paryskiej sprzed kilku lat – jednak w takiej fryzurze było jej bardzo do twarzy. Od razu wpadła mu w oko, za to koleżanka – z ondulacją wodną na włosach – nie podobała mu się ani trochę.

– Co z tą twoją narzeczoną? – Lorenc miał już lepszy nastrój.

– Właśnie się okazało, że przez jakiś czas pracowała jako pokojowa. – Westchnął głęboko.

– Powiedziała ci o tym?

– Powiedział mi kolega, który zna jednego z członków komisji małżeńskiej – wyjaśnił. – Sprawa ujrzała światło dzienne na trzecim posiedzeniu...

– To chyba dobrze? – Podporucznik był zajęty obserwowaniem piękności. – Takie doświadczenie się przyda przy prowadzeniu domu. – Kiedy nieznamoma spojrzała w jego kierunku, odwrócił wzrok, spłoszony.

– Co mi po doświadczeniu, jeśli nie dostanę zgody dowódcy pułku i komisji?

– Dowódca nie da się przekabacić?

– Przekabacić? – Pech spojrział na kolegę zaskoczony. – Dowódcę?... Szkoda czasu... Wielu próbowało w sprawach mniejszej wagi... Bez efektu... – Cedził słowa powoli, jedno za drugim, jakby te prawie niezauważalne pauzy mogły nadać im większej mocy.

Lorenc znów zerknął na kobietę, a ta ponownie odwzajemniła spojrzenie. Tym razem nie odwrócił się, tylko patrzył na nią, uśmiechając się. Miała wręcz wykwintną urodę!

– Sucze plemię pierwszej klasy... – Pech jęknął, następnie odsunął od siebie kieliszek.

– Co? – Nie dowierzał własnym uszom. – Tak mówisz o narzeczonej? Tej samej, którą darzysz tak wielkim uczuciem i która pisana ci jest do ostatniego tchnienia?

Pech dotknął stopki koniuszkiem palca, po czym chwycił ją i wychylił.

– Miałem na myśli dowódcę pułku – wyjaśnił po chwili cierpliwie. – To wielki służbista i człowiek zasadniczej miary. Nie robi odstępstw od żadnej reguły.

– Ale chwileczkę... – Lorenc zmarszczył brwi. – Ostatnio mówiłeś, że dajecie na zapowiedzi. To nie starałeś się wcześniej o zgodę komisji małżeńskiej i dowódcy pułku?

– Byłem przekonany, że to tylko formalność... – tłumaczył. – Powiedziała mi przecież, że ma posadę urzędniczą...

– Trzeba było nie wierzyć na słowo, tylko samemu sprawdzić.

– Miałem ją szpiegować? – obruszył się. – Wypytywać o nią jak jakiś tajny wywiadowca? Chodzić po ro-

dzinie i znajomych i wypytywać? Własną narzeczoną?

Lorenc nic nie odpowiedział, Hipcio miał rację, to byłoby niewłaściwe zachowanie.

– Co ja mam zrobić? – Pech znów jęknął.

– Słyszałem, że niektórzy w takiej sytuacji jak twoja, kiedy nie dostają zgody, piszą prośby do prezydenta przez narzeczoną. – Podporucznik szukał sposobu, aby pomóc przyjacielowi. – Ważny jest też twój upór. Znany jest przypadek porucznika z 30. Pułku Piechoty, który przez cztery lata się o to starał. Napisał osiem podań i wreszcie dopiął swego.

– Cztery lata? – Przez twarz Hipcia przemknął grymas niedowierzania. – Cztery?!

– Można też załatwić zaświadczenie od lekarza, że narieczona ma postępującą nerwicę spowodowaną przedłużającym się okresem narzeczeństwa...

– Gdzie ja znajdę takiego lekarza? – Ukrył głowę w dłoniach. – Cztery lata... To już lepiej ożenić się bez zgody...

– Byli tacy, ale źle to się dla nich skończyło – zauważył Lorenc. – Wiesz doskonale, że grozi za to surowa kara. Twierdza albo nawet przeniesienie do rezerwy!

– To co mam zrobić?

– Zawsze jest opcja ostateczna... – Ważył słowa. – Jakby zapadła z tobą w ciążę, to honorowo musiałbyś się z nią ożenić.

– Kiedy moja Frania jest cnotliwa... – Pech westchnął głęboko.

– Cóż zatem zrobić... – Lorencowi skończyły się pomysły. – Taki argument jest nie do zbiccia... Co można

zrobić?... Nie wiem... Wiem! – Ucieszył się. – Napijmy się! – Rozlał kolejną kolejkę, zaraz potem następną.

Chwilę później w litrowej butelce wódki była już tylko połowa, a podporucznik poczuł nagły przyptyw sił witalnych. Teraz był jak gejzer energii! Spojrzał na piękność dwa stoliki dalej, zagrzał się w myślach do boju, potem wstał i ruszył ku upatrzonemu wcześniej celowi.

– Dzień dobry, szanownym paniom! – Ukłonił się głęboko, patrząc prosto w oczy tej, która podobała mu się bardziej. Potem kurtuazyjnym spojrzeniem – dużo krótszym – obdarzył jej towarzyszkę. – Czy mógłbym prosić panią do tańca? – Wrócił do adoracji wybranki.

Ta jednak nie zareagowała.

– Moja przyjaciółka nie ma dzisiaj ochoty na swawole – powiedziała ta mniej urodziwa. – Ale gdyby chęć miał pański kolega – rzuciła wzrokiem na Pecha – to ja bardzo chętnie. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Kolega ma już narzeczoną – rzekł Lorenc przez zaciśnięte ze złości zęby. Ukłonił się ponownie, ale tym razem nie tak szarmancko, po czym odwrócił na pięcie i wrócił do swojego stolika.

– Spytałbym, jak poszło, ale wszystko słyszałem. – Pech przywitał go smutnym głosem.

Lorenc bez słowa nalał wódki do obu kieliszków.

– Wypijmy. – Wychylił stopkę i, nie czekając na to, co zrobi Hipcio, od razu napełnił ją z powrotem i opróżnił jednym haustem. – Kobieto... Puchu marny... – mówił tak niewyraźnie, że z trudem można go było zrozumieć. – Ty wietrzna istoto... – Zrobił dłuższą pauzę, wyraźnie nad czymś się zastanawiając. – Postaci twojej zazdrozczą anieli... A duszę gorszą masz... Gorszą ni-

żeli⁹... – Głos uwiązał mu w gardle. Wtem beknął tak głośno, że para zajmująca sąsiedni stolik odwróciła się gniewnie w ich kierunku.

– Napijmy się... – Pech nie zamierzał przejmować się karcącymi spojrzeniami. Teraz liczył się dla niego tylko kolega i jego tragiczny los. Było mu równie smutno, a nastroju nie poprawiał nawet fakt zainteresowania swoją osobą niedawnej rozmówczyni podporucznika.

– Napijmy się... – Rozlał kolejną kolejkę.

– Na pohybel puchowi marnemu... – Lorenc miał już nieźle w czubie. Spojrzał na kobietę, która tak mu się spodobała, po czym jęknął w duchu. Wstał, podniósł kieliszek tak, jakby wznosił toast i na całe gardło wrzasnął: – Na pohybel puchowi marnemu!!!

Potem nieprzytomny runął na podłogę.

Rozdział 9

Poniedziałek 11 lutego 1929

Kiedy Różycki wszedł do sali i zobaczył Ciężkiego w towarzystwie inżyniera Pallutha, od razu wyczuł, że te zajęcia będą wyjątkowe. Jedyne na inauguracyjnym wykładzie wystąpili razem – wspomagani przez męzczyznę o nazwisku Pokorny – kolejne prowadzone były już tylko przez jedną osobę.

Palluth poczekał, aż wszyscy zajmą miejsca, potem w ciszy rozdał każdemu plik kartek. Kilka pierwszych z wierzchu było zapisanych zaszyfrowanym tekstem, reszta – czysta – miała służyć jako pomoc w pracy.

⁹ Adam Mickiewicz, *Dziady*, cz. IV.

Różycki rzucił spojrzeniem na kilka wersów i uśmiechnął się chytrze, ciesząc się, że przeczucie go nie omyliło. Wreszcie coś się działo!

– Dzień dobry państwu. – Ciężki zaczął mówić dopiero, kiedy jego przyjaciel wrócił za biurko. – Mamy za sobą kilka tygodni kursu, zajęcia z teorii łamania różnego rodzaju szyfrów, było też parę prostych, aczkolwiek mozolnych ćwiczeń praktycznych. – Zrobił pauzę dla zwiększenia efektu. – Jednak wasze dzisiejsze zadanie jest wyjątkowe. Głównie z uwagi na swoją trudność.

Różycki ucieszył się jeszcze bardziej.

– Państwa dzisiejszym ćwiczeniem praktycznym będzie rozszyfrowanie depesz, jakie inżynier Palluth przed wami położył – mówił dalej porucznik. – Tak? – dodał, widząc podniesioną rękę jednego ze studentów.

– Czy można zadać pytanie? – To był Zygalski.

– Słucham pana.

– To są prawdziwe depesze Reichswehry? – Obracał w dłoniach wierzchnią kartkę.

– Tak – potwierdził Ciężki skwapliwie. – Państwa dzisiejszym zadaniem jest odszyfrowanie prawdziwej depeszy nadanej przez Reichswehrę.

– Ma jakąś nazwę? – rzucił ktoś z sali. – Szyfr – dodał wyjaśniająco.

– *Doppelwürfelverfahren*, czyli szyfr przestawienia podwójnego. Już go państwo znacie. Tytułem przypomnienia: najpierw zmieniane są litery z jawnego tekstu wiadomości, mniej więcej na zasadach stosowanych w anagramie, tyle że w tym przypadku tekst wyjściowy jest zwykle dużo obszerniejszy. Potem zamienia się go

raz jeszcze, używając już do tego innego klucza – wyjaśnił. – Łamanie szyfru przestawienia podwójnego nie jest łatwe, trzeba bowiem rozgryźć aż dwa klucze. Właśnie dlatego Niemcy nazywają go także podwójną kostką do gry¹⁰.

– W czasie Wielkiej Wojny szyfr ten sprawiał największej trudności państwom ententy – dopowiedział Palluth.
– Naszym służbom udało się już ten system rozpoznać.
– Nie dodał za to, że stało się tak mimo zdania pewnego profesora matematyki z Uniwersytetu Warszawskiego, który stwierdził, że szyfr jest nie do złamania. I że właśnie ta opinia była jednym z argumentów za otwarciem kursu w stolicy Wielkopolski.

– Obecnie podwójna kostka do gry cały czas jest używana przez Reichswehrę – kontynuował Ciężki. Nie zająknął się jednak słowem, że Niemcy od jakiegoś czasu używają nowego szyfru, dużo bardziej skomplikowanego, którego nikomu nie udało się jeszcze złamać. I że ma ogromną nadzieję, iż dla niektórych z obecnych na sali dzisiejsze wzywanie będzie tylko preludium do prawdziwej próby sił: z Enigmą.

– Możemy państwu podpowiedzieć, że zaszyfrowana depesza leżąca przed wami na biurkach dotyczy w ogólnym zarysie przygotowania kwater zimowych oraz biwaków na poligonach – dodał inżynier. – To państwu podpowie, jakiego słownictwa powinniście szukać.

– Uwaga! – Ciężki podniósł nieco ton. – To trudne zadanie i może się tak zdarzyć, że nikt z państwa sobie z nim nie poradzi. Ale bardzo proszę, abyście się państwo nie zniechęcali ewentualnym niepowodzeniem.

¹⁰ Polscy kryptolodzy nazywali go podwójną kasetą.

– To dlatego dzisiejsze zajęcia zwołano o tak wczesnej porze... – rzekł Różycki w myślach. – Żebyśmy mieli czas... – Zaczął wpatrywać się w depeszę.

*

Różycki pochodził z Kresów, był synem aptekarza. Od dwóch lat studiował matematykę, ale pasjonował się także geografią, astronomią i językami obcymi. Swoimi zdolnościami lingwistycznymi – szczególnie do języka niemieckiego – oraz logicznymi przykuł uwagę profesorów, w tym Krygowskiego, który miał zostać promotorem jego pracy magisterskiej.

Talent do języka niemieckiego mógł dziwić, jako że Różycki urodził się w 1909 roku w guberni kijowskiej – jako czwarte i ostatnie dziecko. W 1918 roku razem z rodziną przyjechał do Polski. Kiedy trafił na kurs szefrów, był na trzecim roku studiów.

Właśnie dar do języka Goethego był jednym z elementów, dzięki któremu z nic niemówiących znaczków, jakie miał przed oczami, powoli zaczynał wyłaniać się jakiś sens. Spojrzał na zegarek, kiedy zobaczył, że pracują już ponad dwie godziny, bardzo się zdziwił, był przekonany, że minęło dużo mniej czasu. Może to za sprawą absolutnej ciszy panującej w sali? Od momentu, kiedy rozpoczęli zmagania z podwójną kostką do gry, dało się słyszeć jedynie szelest przewracanych kartek i temperowanych ołówków oraz skrzypienie drzwi, kiedy kolejne osoby wychodziły skorzystać z ubikacji.

Minęło kilka kolejnych kwadransów, w trakcie których trzy osoby oddały kartki. W pierwszej chwili pomyślał, że uporali się z zadaniem, ale po zniechęconych minach można było wnioskować, że raczej się poddali.

– Proszę państwa, czas kończyć – rzekł nagle porucznik.

– Jeszcze jedna prośba do państwa – powiedział Palluth. – Nawet, jeśli nie rozwiążaliście państwo szyfru, proszę oddać kartki. Z panem Ciężkim sprawdzimy wasz tok rozumowania, który jest równie istotny, co samo rozwiązanie. A może i bardziej. – Odwrócił się do porucznika i mrugnął znacząco.

– Zgadzam się z panem inżynierem w całej rozciągłości. – Ciężki wodził oczami po sali. Nagle tknęło go jakieś przeczucie. – A może niewłaściwie przyjęliśmy z panem inżynierem założenie, że nikomu z państwa się nie udało? – Cały czas rozglądał się bacznie. – Może ktoś z państwa jest przekonany, że złamał szyfr przedstawienia podwójnego? Może komuś z państwa udało się odczytać tekst pierwotny, czyli kler?

Kiedy dostrzegł trzy ręce uniesione w górę, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Palluth był równie zaskoczony.

– Poproszę panów prace. – Ciężki wyciągnął dłoń, nie kryjąc zniecierpliwienia. Chwilę potem odbierał już kartki od Rejewskiego – studenta czwartego roku i – Różyckiego oraz Zygalskiego – jeśli dobrze pamiętał, studiujących rok niżej. Od razu sprawdził wyniki ich działań, nie potrafił się powstrzymać.

Palluth był równie niecierpliwy, zerkał przyjacielowi przez ramię.

Ciężki sprawdził najpierw pracę Różyckiego – wystarczył rzut oka, aby mieć pewność, że mężczyzna poradził sobie z szyfrem – potem Zygalskiego – wynik weryfikacji był taki sam – a na koniec Rejewskiego

– efekt był identyczny. Odwrócił się, spojrzął na Pallutha.

Ten tylko pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Panowie... – Ciężki po kolei wbił spojrzenie w każdego z trzech mężczyzn. Może jednak otwarcie kursu szyfrów w Poznaniu nie będzie dla niego i kolegi jedynie okazją do sentymentalnych podróży w miejsce urodzenia i dzieciństwa, ale przyniesie też sukces? – Nie pozostaje mi nic innego, jak pogratulować panom świetnego wyniku. Mogę dodać od siebie... – Zerknął na przyjaciela, ten aprobusz potaknął – i także od inżyniera Pallutha, że jesteście obaj pod wrażeniem panów umiejętności. – Odłożył kartki na biurko, zaczął bić brawo.

Zaraz potem w jego ślady poszedł inżynier Palluth, chwilę później klaskali też pozostali studenci i studentki.

*

Jak się okazało, Różycki, Zygalski i Rejewski byli jedynymi, którym udało się rozwiązać depezę Reichswehry. Chcąc uczcić sukces, postanowili wybrać się na spóźniony obiad, a potem od razu na słodki podwieczorek, który miał być gwoździem wieczoru i jednocześnie nagrodą za zwycięstwo nad Niemcami. Co prawda tylko na papierze, ale fakt był faktem i należało to odpowiednio świętować.

Zjedli rosół pomidorowy oraz wątróbkę cielęcą z cebulką, potem na deser wybrali się do kawiarni Wincenego Dobskiego przy ulicy Fredy – nazywaną w skrócie Dobskim. Był to jeden z najmodniejszych – i zarazem najprzystrojnionych – lokali rozrywkowych w Poznaniu. Chętnie odwiedzany przez profesorów z Uniwer-

sytetu Poznańskiego, jako że położony blisko gmachów uczelnianych, często bywali tu również literaci i artyści z pobliskiego Teatru Wielkiego oraz prawnicy i lekarze. Studenci rzadziej, jako że lokal najtańszy nie był, a organizowane tu bale sylwestrowe należały do najdroższych i najbardziej ekskluzywnych w całym Poznaniu. W ciągu roku odbywały się tutaj koncerty i dancingi, można też było pograć w brydża, latem w ogródku kawiarnianym królowały szachy.

Po długim namyśle zamówili lody czekoladowe w kształcie kuli i o ciemnym kolorze, wynalazek znad Sekwany wyglądem przypominający bombę i z racji tego nazwany przez cukierników i restauratorów bombą lodową.

Siedzieli, sycąc się deserem i cicho rozmawiali, wymieniając uwagi na temat niedawno wykonanego zadania. W tyle głowy bowiem mieli cały czas przyrzeczenie utrzymania kursu szyfrów w tajemnicy i jego poufny charakter.

– Myślałem, że to trwało trzy, może cztery kwadransy... – Zygalski odłożył łyżeczkę na podstawek. – A tymczasem to były ponad dwie godziny wpatrywania się w kartkę papieru... Aż mnie głowa rozboleła!

– Mnie też – zawtórował Różycki. – To jednak ciężka praca... – obejrzał się dookoła – być kryptologiem... Trzeba mieć stale napiętą uwagę, żeby nie przegapić prawidłowości, gdy tylko się pojawi...

– Zgadzam się. – Rejewski jadł najwolniej z całej trójki, jakby chciał jak najbardziej wydłużyć czas świętowania. Jego myśli co chwilę wędrowały do Ireny, dziewczyny, która czekała na niego w rodzinnej Bydgoszczy. – Na-

leży być niezwykle czujnym i uważnym, inaczej można nie zauważyć tropu...

– Myślicie, że to prawda, co tyle razy powtarzali obaj wykładowcy? – Zygalski z pełną świadomością nie używał nazwisk. – Że kluczowa jest nie tylko znajomość języka i mentalności osób nim się posługujących, ale także wyobraźnia i intuicja?

– Wyobraźnia z pewnością, bo jakoś trzeba sobie wyimaginarować to, czego czasami brakuje w zadaniu. – Różycki specjalnie nie użył słowa: depesza.

– Intuicja. – Rejewski skończył jeść. – Moim zdaniem najważniejsza jest intuicja. Praca, o której mówimy, wymaga umiejętności dodawania tego, czego nie widać i wyłuskiwania informacji, których w tym momencie jeszcze nie ma na podorędziu.

– Koledzy, zgadzam się z wami! – Różycki przygryzł wargę. – A wiecie, co to oznacza?

Spojrzeli na niego pytająco.

– Że odnieśliśmy dzisiaj nie lada sukces – tłumaczył. – Niebagatelny, wzięwszy pod uwagę twarze obu dżentelmenów, kiedy zobaczyli nasze ręce w górze. – Zaśmiał się radośnie.

W odpowiedzi Zygałski zachichotał, zaraz potem w jego ślady poszedł Rejewski.

– Z uwagi na wielkość naszego zwycięstwa – ten ostatni zatarł dłonie z radości – proponuję repetę. – Pokazał palcem na puste puchary.

Chwilę później zajadali się drugą porcją bomb lodowych, cały czas rozmawiając o matematyce i zastanawiając się przy tym, jakie dalsze wyzwania przyniosą z sobą na kolejne zajęcia obaj Ciężki i Palluth.

Wtedy jeszcze nie mogli wiedzieć, że właśnie tego dnia – dokładnie w momencie, kiedy złamane depesze Reichswehry trafiły w ręce porucznika – ich zawodowe kariery zaczęły nabierać rozpędu, mimo że byli przecież jeszcze studentami.

Tym bardziej nie mieli powodów przypuszczać, że to właśnie ich trójka już za jakiś czas zostanie autorami największego sukcesu w historii światowej kryptologii.